FEB 1 - 1918
MAR 9 - 1918
OCT 3 1918
NOV 29 1918
JUL 17 1919
AUG 13 '32

011

~~232~~ ~~Dib~~

F. 208

208

F 208

„ŚLUBY“

POEMAT DRAMATYCZNY W TRZECH AKTACH

NAPISAŁ

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

3660

Biblioteka i Muzeum
Zw. Nar. Pol. w St. Zjed. P. A.
...Chicago, Ill...

W KOMISIE KSIĘGARNI K. ZABŁOCKIEGO W TORUNIU.

DRUK S. BUSZCZYŃSKIEGO W TORUNIU.

216.

ŻONIE MEJ

JADWIDZE

POŚWIĘCAM.

OSOBY:

ZYGMUNT, rzeźbiarz.

KLARA, jego żona.

POLA, jego siostra.

KRZYCKI, malarz.

Rzecz współczesna.

Miejsce: Tatry.

MOTTO:

BEETHOVEN.
SONATA B-DUR OP. 106.
ADAGIO SOSTENUTO.

KOŚCIELISKA DOLINA I TORUŃ.

AKT I.

(Krajobraz górski. Wykwintny, ze smakiem artysty budowany dom góralski w głębi. Po bokach grupy świerków, przed domem klomby jesiennych kwiatów. Ma się ku wieczorowi. W głębi widać turnie, oświecone zachodzącem słońcem.)

SCENA I.

POLA I KLARA.

KLARA. Tak, to już dwa lata upłynęło od czasu, jakeśmy się ostatni raz widziały.... Nie myślałaś wtedy, że za rok zostanę żoną twego brata?

POLA. Skądżeż mogłam coś podobnego przewidzieć. Nic o nim nie wiedziałam, siedział gdzieś za światem, zagrzebany w pracy, nigdy lub bardzo rzadko pisywaliśmy do siebie. Ale czekaj tylko, — wracając do tego czasu, kiedy widywałyśmy się na wsi u mego ojca. Przypominasz

ty sobie tę czerwoną Krystynę, jakeśmy ją nazywały — tę z sąsiedztwa, a która zawsze tak niespodzianie i nie w porę wpadała?

KLARA. Czerwona Krystyna? Ach, tak, tak! Ta z czerwonemi włosami i zielonemi złemi oczyma? Pamiętam, naturalnie że pamiętam .... ale skąd ci się ona nagle przypomniała?

POLA. Nic .... nic .... ni stąd ni zowąd. Kiedym dziś rano wyszła drogą ku dolinie, zobaczyłam nagle na skręcie kobietę; stała wsparta o skałę, jakby jej sił brakło iść dalej i uporczywie patrzyła w tę stronę .... Wtedy coś mnie tknęło, że to czerwona Krystyna — naturalnie, że to przywidzenie, skądżeby się tu wzięła.

KLARA. I na mnie zawsze dziwnie przykre wrażenie robiła .... Bardzo jej nie lubiłam .... Te płomienne włosy, które jakby falą ognia

oblewały jej suchotniczą twarz — pamiętasz? I te złe zielone oczy, tak chorobliwie błyszczące? — A zawsze zjawiała się niespodzianie i psuła nam najmilsze chwile. Kiedyś ją ostatni raz spotkała?

POLA. Przed rokiem w Paryżu, ale nie lubię tych wspomnień z przed roku.

KLARA. Czyżby te wspomnienia stały w jakim związku z czerwoną Krystyną?

POLA. Tak.

(Chwila milczenia.)

KLARA *(po chwili).* Nie zbywaj mnie półsłówkami. Powiedz mi wszystko, coś przez te dwa lata robiła?

POLA. Moje życie zewnętrzne jest takie biedne, takie skąpe w wypadki, odkąd się z mężem rozstałam ....

KLARA. Dlaczego właściwie rozstałaś się z mężem?

POLA. Bośmy byli dla siebie obcy — ach, jak obcy! Nie rozumieliśmy się. Kiedy dusza moja wyciągała ku niemu ramiona, to je coś paraliżowało, opadały nagle, jak skamieniałe, ciężkie bezwładne, nawet w krzyku bólu wyciągnąć, się nie mogły. A on krążył naokół mnie, krążył i śledził. Czułam jego duszę, jak jakiś żyjący organizm, co swoje macki wysuwa — powoli, ostrożnie. Już czułam ich dotknięcie, jakieś błogie uczucie ośliźgiwało się wzdłuż mego serca, ale nagle macki się kurczyły, znikały, kryły się, jak porażone — serce stygło. — Nie umiał, czy nie mógł mego serca zapłodnić....

KLARA. Co stało między wami?

POLA. Nie wiem, nigdy tego pojąć nie mogłam. To było uczucie wstydu — każdą chwilę zbliżenia opłacaliśmy tem przykrem uczuciem wstydu.

— Miałam wrażenie, żeśmy obnażeni, a jakieś zimne oczy na nas patrzą.... Dla mnie te wspomnienia męką, ale przy tobie — to ulgą mówić o tem....

KLARA. Mów, mów, Polu, moja dusza dojrzała, by wszystko to zrozumieć.

POLA. I tak dusze nasze się nie splotły, serca nie rozgrzały — coraz większa obcość i samotność. Byliśmy razem — ale, to była najwyszukańsza męczarnia. Razem bez siebie! — ach, to takie unicestwienie, to takie straszne przestanie być sobą — to takie „razem“ wyklucza nawet własne ja. I wtedy to zapragnęłam zostać matką — pragnęłam mieć dziecko, w niem się obudzić z jakiegoś czarnego nic do życia.

KLARA. Byłaś matką?

POLA. Nie. Ja tylko pragnęłam nią być. Całymi

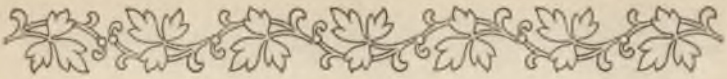

dniami o niczem nie marzyłam, jak tylko o tem. Mieć dziecko, zaznać tego szczęścia, chociażby matki, na śmierć skazanej. Na śmierć być spętaną, ale módz się przyczołgać do dziecka, przytulić do siebie, karmić własną piersią, a potem zżyć się z mojem płodem, stać się tak małą, jak ono i tak świętą i czystą, jak ono w swej niepokalanej niewinności, marzyć z niem razem sny o co dopiero opuszczonych rajach, o złotem szczęściu za tysiącem borów, za tysiącem mórz .... *(śmieje się cicho).*

KLARA. Jakie to piękne — mów, mów, ja cię głębiej rozumiem, aniżeli przeczuwasz ....

POLA. Czuję to, czuję i dlatego tobie jedynej zdradzę tajemnicę tego cudu. Bo rzeczywiście stał się cud. Pomyśl, nagle uczułam się zapłodnioną. Moje sny, moje pragnienia duszę mą zapłodniły. Porodziłam artystę w sobie.

Wiesz, żem dobrze grała, przeczuwałam zawsze jakieś niezgłębione tajemnice, jakieś czarne przepaście w muzyce, i to wszystko się nagle we mnie odsłoniło. Buchnęło nagle jakieś straszne światło i przejrzałam aż do dna. Z jakąż dziką namiętnością rzuciłam się w objęcia tego dziecka, które porodziłam. Ten martwy klawisz, którego dawniej dotykałam się mechanicznie, ożył nagle — zetknął się ze mną w jakimś mistycznym pocałunku, dźwięk się jął przelewać we mnie, z martwą klawiaturą poczęłam mówić, o tak, jak z tobą mówię; dusza najpotężniejszych tworców przestała być dla mnie zagadką — rozerwały się pieczęcie, pojąłem apokaliptyczne tajemnice. Nie mam twórczej siły, by módz sama tworzyć, ale w zetknięciu się z dziełem geniusza rosnę z nim razem, przy jego boku patrzę w zaklęte raje, w niewypowiedziane

cuda uroczysk, dziwów i czarów. — Cała tajemnica: ja nie słyszę muzyki — ja ją widzę, widzę. Wszystko staje mi się muzyką: i te góry tu naokół, te turnie, granie, szczyty, te strumienie zlebów, lejących się w dół, i ty, ty jedyna, której ten cud zdradzam .... Przestałam być samą — rwie mnie jeszcze pragnienie szczęścia tego świata, szarpią mnie tęsknoty, droga moja najeżona pokusami, jakie złośliwa, zdradna ułuda maluje .... *(nagle).* Ach, kiedyż stanę się cała muzyką, kiedyż się zleję, stopię w jedno z tem dzieckiem, które ma dusza w takiej męce zrodziła! ....

(Chwila milczenia).

Odtąd między moim mężem a mną wszystko było stargane. W jednej chwili. A była to straszna chwila. Nie było go kilka miesięcy w domu — wrócił nagle takiego wieczora, jak dziś.

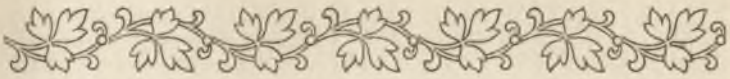

Nie wiedziałam, że wróci — zapuściłam się w najciemniejsze gąszcze, zdala od całego świata — gdzieś poza światem, wspięłam się na najwyższy szczyt, ponad chmury. Ucichł gniew i rozgwar życia gdzieś tam w dole, a rozmodlona dusza mówiła z Bogiem, pławiła się w Jego wiekuistem świetle. Nagle uczułam, jak jakieś straszne, przerażone ręce, ręce człowieka, który się wali w przepaść z najwyższego szczytu, lub którego odmęty morza chłoną, ręce obłąkane, jak się wpijają w moje nogi i z piekielną siłą ściągają mnie w dół — zerwałam się i stanęłam oko w oko z nim....

KLARA. Z kim?

POLA. Z mężem moim.

KLARA. Straszne!

POLA. To było straszne. Słowa nie mówił — nie potrzebował słów. Oczy jego krzyczały, ziały

nienawiścią, zgrzytały w piekielnej zaciekłości, a potem gasły, szarzały, popielały .... — „Tyś inne śluby zawarła“ — wybełkotał — ujął me ręce w zimne, od zimna palące kleszcze: „Jesteś wolna“. Takeśmy się rozstali ....

(Długie milczenie).

KLARA. *(nagle przerażona, szybko, bezładnie).* Te ręce — te ręce, ten wściekły, żelazny oplot ramion, które ciągną w dół, ściągają ze szczytów ....

POLA. O czyich ty rękach mówisz?

KLARA. Zaczem poznałam Zygmunta, znałam już oddawna człowieka, który tajemniczy urok na mnie wywierał .... Dziwny człowiek .... mówił mało, a czułam, że ma do powiedzenia wielkie i głębokie słowa, jakich nikt przed nim nie wypowiedział, że głowa jego cały świat myśli w sobie mieści. Nie mówił prawie o tem,

że mnie kocha, a czułam, że jestem dla niego wszystkiem. Początkowo zajmowało i nęciło mnie to milczące, skupione a tak potężne życie — ale zwolna uczułam, jak jakieś niewidzialne nici między mną a nim się nawiązują — jakieś tajemnicze a silne węzły między jego a moją duszę się zadzierzgują. Nie wiem sama — nie umiałam sobie zdać sprawy, co to było, ale przyszła chwila, w której nagle, zdumiona, uczułam, że jestem związana....

POLA. I te ręce z przeszłości się za tobą wyciągają?

KLARA. Ach, jak często widzę je przed sobą i jak się wtedy męczę. Taki mnie niepokój ogarnia, tak mnie coś gna, chciałabym uciec przed niemi, skryć się.... Ale one widzą mnie wszędzie i wszędzie mnie dosięgną.... Ach! te chciwe, nieubłagane ręce, które szarpią z powrotem w znój i piekło dolin....

POLA. A ty nie masz tej brutalnej siły, by je pogruchotać, zmiażdżyć?!

KLARA. Ja je miażdżę — ja je gruchocę, ale one od nowa odrastają — teraz jeszcze niewidzialne, jeszcze ukryte, ale ja słyszę, jak ziemia pęka, jak się szczeliny tworzą, lada chwila ręce się wysuną....

POLA. Czyżby i teraz jeszcze?

KLARA. Jest jakaś ukryta, podziemna świadomość we mnie i ona mi mówi, że się nigdy tych wizyi nie pozbędę. — Widziałaś ostatnią rzeźbę Zygmunta? Prawda, nie mogłaś widzieć, nie byłaś tutaj, gdy ją wykończył, a teraz jest na wystawie.... Olbrzym, taki potężny, święty Chrystofor.... unosi w górę ponad odmęty morskie kobietę, skarb i świat swój cały. Kobieta silnym, miłosnym oplotem objęła jego szyję, ale do jej nóg przyczepił się straszny

potwór, który ją ściąga z powrotem w dół ku otchłani. Już mdleją jej ramiona, już obwisła bezwładna, bo wpół ją objęło martwe, olbrzymie cielsko: jakiś straszny ciężar, cały świat z kamieni. Olbrzym się rozparł, wytężył wszystkie siły, muskuły zdają się pękać w dzikich, nadludzkich zapasach z potworem, by z jego objęć kobietę wyzwolić — i . . . i . . .

POLA. A sama ciężaru tego zrzucić nie możesz?

KLARA. Tyle razy go zrzucałam, ale jakaś niewidzialna siła od nowa mnie nim obarcza.

POLA. Teraz widzę, jak Zygmunt musiał o ciebie walczyć — zdobywać z uporem człowieka, którego siły przeszkody jeszcze potęgują . . . .

KLARA. Aż mnie zdobył, niepodzielnie zdobył . . . . Stałam się wolną — już wzięliśmy się za ręce i w niewypowiedzianej miłości objęły się nasze dusze. I we mnie dokonał się ten tajemniczy

cud, o którym mówiłaś — tylko inaczej. — Czemże to wszystko tu naokół dla mnie było, zaczem przejrzałam? — Usypiska piargów, morze kamieni, piękne, ale martwe głazy. A teraz wiem, że tam jest żywy ogień. Że te piętrzące się turnie, te poszarpane granie, to skamieniałe bałwany, zastygłe w wściekłych gejzyrach, to grzywy skrzepłe palących się mórz. — I ta martwota nabiera życia, poczyna drgać, kipić, pienić się, staje się palącym, żywym pożarem, gdy się tak spojrzy na nie — nie ślepem, ale widzącem okiem. I jam była tą niewidomą, ale raz, gdy go ujrzałam w pracowni nad olbrzymim blokiem granitu, gdy przestał być człowiekiem i tylko potężny twórca w zaciekłej zapamiętałości jedną bryłę po drugiej z twardego głazu odwalał, gdy, jak grad iskier, sypały się naokół odłamy kamienia —

gdy z niego wyłupiał ukryte kształty, rył ścieżki i źleby, by niemi dotrzeć do ognia życia, wtedy przejrzałam. — I tak stałam oślepiona, pokorna, tarzająca się w pyle przed światłością Boską — a tam z tego marmuru buchały płomienie. Każde pchnięcie dłuta było dotknięciem mojżeszowej laski, z pod której tryskały strumienie ognia życia, tchu, rozpierającego łono całego świata. — I wtedy spojrzałam na niego. Patrzył na mnie, ale mnie nie widział. Było w jego oczach coś tak strasznego, odblask jakiejś ciszy oceanicznej, by nieujęte rzeczy pochwycić; skamieniałe milczenie tworzenia, co za chwilę wszystko w perzynę obróci, by nowy twór z siebie wyrzucić — przyczajone czyhające, do skoku gotowe napięcie, by wyrwać Nieznanemu niezgłębione tajemnice. — Uczułam się wtedy nagle wolną, stałam się jego .... A tamten

czuł, wiedział, co się we mnie dokonywa, ale milczał. W ciągu całych tygodni jeszcze widywaliśmy się, a on milczał....

POLA. A gdy się dowiedział, że wszystko się skończyło?

KLARA. Milczał.

POLA. I tak rozstaliście się bez jednego słowa?

KLARA. Bez jednego słowa.

POLA. I nigdy go odtąd nie widziałaś?

KLARA. Nigdy.

POLA. Dziwnie mocny człowiek.

KLARA. I tem milczeniem mnie z sobą związał. Są rzeczy, które daleko nierozerwalniej wiążą, jak wszystkie śluby.... nieprawdaż?

POLA. Prawda....

KLARA. I to także niepojęte. Przecież ja tylko Zygmunta kocham. Innego szczęścia wystawić sobie nie mogę, jak kochać go i być przez

niego kochaną. Jesteśmy razem. Rozumiesz to „Razem“, to kosztowne „Razem“? Jesteśmy nierozerwalnie z sobą zrośnięci, jego serce czuję, jak bije tętnem mojego, dusza moja spoczywa tak nieskończenie słodko w oplocie skrzydeł jego mocnej, jego niewypowiedzianie dobrej duszy .... A jednak .... te ręce .... raz po raz to brzemię jakiegoś strasznego ciężaru ....

POLA. I nie możesz o nim zapomnieć?

KLARA. Zapomnieć? .... To właściwie nie wspomnienie — zupełnie nie. — To jakiś ucisk na mózgu, jakieś nagłe, bolesne szarpnięcie, jakby ktoś serce kleszczami ściskał, niepokój dręczący, któregoby się chciało pozbyć, a pozbyć się nie można, nie wiem zresztą co to jest .... *(Milczenie — po chwili).* Coś tak nagle posmutniała?

POLA. Bo i ja mam takie majaki, które mnie prześladują — a dziś od samego rana, od chwili, jak mi się zdawało, że czerwoną Krystynę widzę znowu — *(przerywa)*. Często mi się majaczy jej postać gorączką trawiącego ognia wyniszczona, zbiedzona — oszalała .... (nagle) i jej czerwone włosy! Tak, włosy — widzę je ustawicznie, jak ty te ręce tamtego. — Żyła z jednym malarzem w Paryżu i ten malował jej włosy .... Ona dla niego nie istniała — tylko jej włosy. Jej włosami rozorywał ziemię, gdy malował przedpotopowe pożary światów, jej włosami zalewał jeziora i morza w słońca zachodzie i rzucał je snopami w jutrzniach na niebo — a potem ....

KLARA. A potem?

POLA. Potem zaczął malować moją muzykę i jam się dostała w roztopy tego ognia, w jakich

Zygmunta widziałaś. Alem się wyrwała. Jestem wolną....

KLARA. Czekaj.... czekaj.... więc on jej nie kochał?

POLA. Nie!

KLARA. A ona?

POLA. Szalała za nim. Całą drapieżną dzikością swych płomiennych włosów, całą tą nieokiełznaną, złą, niszczącą namiętnością i temi złemi, zielonemi oczyma. Wiesz, ja jej się boję.... nie dla siebie — nie dla siebie — ach, nie:....

KLARA. Dla niego?

POLA. Tak.

(Milczenie).

SCENA 2.

(Z boku wychodzi Zygmunt, niewidziany przez nie.)

ZYGMUNT. Cóż to panie w jakiejś głębokiej zadumie?

KLARA. To ty, Zygmuncie, chciałyśmy iść na przechadz-

kę, ale razem z tobą. Coś cię długo pracownia pochłonęła.

POLA. Od samego rana nie widziałam cię.

ZYGMUNT. Wybacz, droga siostro, jestem rzeczywiście złym gospodarzem, ale jak mnie ten szał pracy ogarnie, to o całym świecie zapominam.

KLARA. I o mnie?

ZYGMUNT. Nie, nie, jakże o tobie? Zawsze jesteś przy mnie — widzę cię przed sobą, za mną — wszędzie — jakbyś się rozpłynęła w całej pracowni....

POLA. Szczęśliwa Klara!....

ZYGMUNT. Jesteś szczęśliwa?

KLARA *(tuli się do niego).*

ZYGMUNT *(niespokojnie).* Bo ja mam dziwny przesąd. Kiedyś czytałem baladę Szylera na ten temat — zdaje się „Pierścień Polykratesa“ —

djablo krucha rzecz to szczęście — nie trzeba o niem mówić.

KLARA. Ale ja jestem szczęśliwa i będę o tem mówić — na cały świat chciałabym rozkrzyczeć moje szczęście.

ZYGMUNT. Delikatna, jak pajęczynka, delikatna rzecz — szczęście.

POLA. Jedno szczęście pewne, niewzruszone, nietykalne szczęście w tworzeniu — co?

ZYGMUNT. Nie zawsze, nie zawsze, kochana siostro. — Ale dajmy temu teraz spokój — cały dzień dziś pracowałem, jak ostatni kamieniarz, a kamień to moja choroba .... Jak trzymam dłuto w ręku, to mnie ogarnia taka pasja, takie zapamiętanie, że mi ten blok za mały, jabym je chciał wbić tam oto w ten szczyt, orać nim kamienie, tak orać, ryć, rozwalać, chciałbym jakiegoś młota mistycznego Thora, by nim głę-

biej jeszcze dłuto zabić, ażby ogień prysnął naokół.... Tak, to moja choroba — czuję, że umiałbym potężniejsze błyskawice wykrzesać, jak te tam wężyki, co nam burze zwiastują.... Jak dobrze teraz spocząć po tym wysiłku — jak dobrze. Dziś będzie piękna noc księżycowa pójdziemy daleko w dolinę. Tam się dobrze czuję w tym wąwozie, w tych czarnych skałach chciałbym kuć — kuć bez końca. — Ale cóż to ty taka zamyślona, Klaro?

KLARA. Widzę cię, jak w tych urwiskach ogień krzeszesz.

POLA. A ja widzę czerwone niebo w płomieniach, pójdę je wygrać, cały dzień nie byłam u mego dziecka.

KLARA. Fortepian nazywa swojem dzieckiem.

ZYGMUNT. Posłuszne dziecko — jak ty teraz grasz, Polu, to właściwie nie muzyka — to — to —

(robi gest ręką jakby rzeźbił) to z pod palcy życie wychodzi — nieprawda? coś się widzi, ni stąd, ni zowąd z bezkształtnej masy coś się wyłania — djabelna rozkosz!

POLA. Ciężko ją trzeba okupić.

ZYGMUNT. Oj ciężko... graj, graj to, gdzie wodospady huczą, bałwany się o skały ciskają...

KLARA *(zamyślona)*. W nocy, przy spienionym stawie — w blasku miesiąca...

POLA *(wychodzi)*.

SCENA 3.

ZYGMUNT I KLARA.

KLARA *(patrzy na niego)*. Kocham cię w tem natchnieniu, kocham w tej gorączce tworzenia.

ZYGMUNT *(niespokojnie)*. Kochasz mnie w natchnieniu? A ja teraz rzeczywiście żyję w ustawicznem podnieceniu... Głowa mi się pali od pomysłów — chciałbym mieć tysiąc rąk,

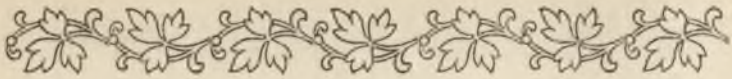

by nadążyć myślom. Nowy świat się dla mnie otworzył, cały bezmiar nowych światów, z oczu całkiem straciłem tę szarą, codzienną rzeczywistość... Wyzwolić się od rzeczy namacalnych... chwycić to, co żyje, och i jak żyje! — między rośliną a kamieniem, między dniem a nocą, jawą a marzeniem. Ty, ty to jedna rozumiesz. Te nieuchwytne związki między jedną myślą a drugą, między pragnieniem a czynem, między życiem a śmiercią. Nie — nie śmiercią, bo śmierci niema — to między życiem a po za życiem — nie! to też nie, bo przecież niema rozdziału, niema przecinka między jednem a drugiem, jest tylko jedna ciągłość bez początku i końca. Do tej istoty wszechrzeczy, do praognia chcę dotrzeć...

KLARA. Kocham cię, czcicielu ognia, i takam dumna, że go podsycać mogę...

ZYGMUNT. Przez ciebie dokonuje się ten cud — przez ciebie mam te nieskończenie otchłanne chwile tam na szczytach, że mózg mi pęka od tajemnych przeczuć, od bolesnego darcia się przez skłębione wały mgieł... Przez ciebie mówi mi coś, szepce mi jakieś słowa, nie — to nie słowa ani muzyka, ani nic takiego, coby wypowiedzieć można. Słyszę nie uchem, ale całym sobą, coś, jakby drganie w każdej drobince ciała, jakiś falisty prąd, który krąży we mnie. Staję się jakby delikatną błonką, którą wprawia w drganie odległe echo rzeczy nieuchwytnych a wiecznych. Przez ciebie rozumiem mowę zaklętych gór; przez ciebie ożywa mi niebo, poczynam żyć jego burzą, roztopami jego światła, walką jego chmur, kłębieniem się mgieł, ich wznoszeniem się, opadaniem, pierzchaniem...

KLARA *(w uniesieniu).* Przezemnie? Przezemnie? Co za rozkosz — co za niepojęte niebo łaski... *(rzuca mu się na szyję. Nagle opada — patrzy z posępnym niepokojem przed siebie).*

ZYGMUNT *(bierze jej ręce ze smutkiem).* Wiem, wiem co cię tak nagle ubezwładniło. I mnie to ubezwładnia... Stąd to przychodzą na mnie te chwile zwątpień, bolesnych szamotań się, te chwile upadku, niemocy i śmiertelnej walki... Zdaje mi się, że idę, idę bez końca, pnę się w górę po stromych turniach. Nigdzie śladu ścieżyny, nigdzie załomu, o który możnaby stopę oprzeć, dłonią uchwycić. A taka ciemność naokół, taki gęsty tuman mgły, że zdaje się, iż ślepniesz, że oczy bielmem ci zachodzą — tylko wewnętrzny jakiś ogień gna cię dalej, lecz nie wiesz dokąd idziesz... Ta gonitwa za tem, czego uchwycić nie można,

a o czem wiem, że jest miliard razy prawdziwszą rzeczywistością, aniżeli ta marna tu naokół, trawi mnie i zabija. Gdy spojrzę na te na wpół okrzesane bryły w mojej pracowni, na te rzeczy rozpoczęte, a których nigdy może nie pokończę, bo to wszystko za małe, za marne, za biedne — to ogarnia mnie taka wściekłość, taka rozpacz niemocy i takie dzikie pragnienie, by módz uciec przed wszystkiem, przed sobą — opuścić siebie, wyrwać się ze siebie — że obłędu się lękam . . .

(Milczenie).

KLARA. Ile ja bezsennych nocy spędzam, gdy ty się tak w pracowni zamykasz. Czuję wtedy, że tam się dokonują straszne tajemnice, rozgrywają tragedje duszy, oszalałej, szarpiącej, krzyczącej za wyzwoleniem. Widzę cię karła — olbrzyma, skazanego na ślepotę w trawiącej

rozpaczy za słońcem, którego żaden człowiek ujrzeć nie może — i wtedy męcze się z tobą, przeżywam niewypowiedzianą mękę pragnienia, by ci pomódz, by razem z tobą rozwalać turnie, wwiercać się w góry, by się dokopać do żywego ognia... Temi słabemi rękoma chciałabym głazy odwalać — niech wszystka krew wycieknie z poszarpanych rąk, temi — ramiony powstrzymać lecący potok kamieni — niech mnie całą zgruchocą, na pył zetrą — byle ci pomódz... I cóż? Wiję się z bolu, twoja gorączka trawi mnie, nie daje mi spokoju... Ale potem nagle obejmuje mnie jasność — znowu cię widzę w tym ogniu, w tych blaskach, w jakich cię po raz pierwszy ujrzałam. Boś ty potężny, tyś olbrzym, tyś jest tym Chrystoforem co...

ZYGMUNT. Dlaczego tak niespokojnie przerwałaś?....

KLARA. Nic, nic... stanęły mi łąki Asfodelosowe przed oczyma, a ja ręka w rękę z tobą...

ZYGMUNT. O czem innem chciałaś mówić.

KLARA. Jak ty we mnie czytasz, jak ty mną żyjesz... o czem innem chciałam mówić... Ujrzałam nagle przed sobą twą rzeźbę. Ten olbrzym z kobietą, co taki straszny ciężar za sobą wlecze... Uczułam taki lęk nagły, że olbrzym nie podoła, albo kobiecie ręce obwisną...

ZYGMUNT. Za mocno się rozparł. Teraz za chwilę będzie mieć drugą rękę wolną, ujmie ją wpół, a wtedy mogłaby wlec całe piekło za sobą, a dźwignie ją.

KLARA. I wyswobodzi?

ZYGMUNT. Wyswobodzi.

KLARA. Czem?

ZYGMUNT. Miłością. Miłością zdobywcy, który

swego skarbu, w takiej męce i walce zdobytego, wydrzeć sobie nie pozwoli.

KLARA *(lękliwie)*. O nim myślisz?

ZYGMUNT *(pochmurnieje)*. Nie o nim, bo wiem, że niema go w tobie — ale o mgłach, o czarnych oponach mgieł, coby na naszą wązką ścieżynę opaść mogły. Jeżeli czuję jakiś lęk, to ten, byśmy nie zbłądzili. Trzeba silniej pochodnie rozpalić.

KLARA. Czyż może być większa miłość od mojej?

ZYGMUNT. Taka, co zwycięża... Taka miłość, co jakby w jasnowidzeniu jest w stanie objąć ogrom miłości w drugiej duszy, ujrzeć tę miłość w całej jej bezgranicznej jasności nie poza sobą, ale w sobie, napawać jej blaskiem swoje oczy, tak żeby olśnione nią nic więcej prócz niej nie widziały...

KLARA *(przeciera oczy)*. To tak, jak nietylko czuć

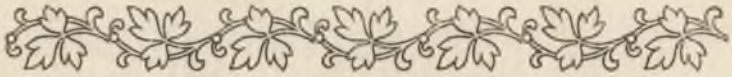

Boga w okół siebie, wiedzieć, że on jest, ale ujrzeć Jego oblicze, stanąć z Nim oko w oko, stać się Nim... Czy tak?

ZYGMUNT. Tak. I taka miłość jest tak wielkim cudem, takiem morzem światła, w którem wszystko tonie: przyszłość i przeszłość!....

KLARA *(w głębokiem zamyśleniu).* Przyszłość i przeszłość!...

ZYGMUNT *(podnosi się).* Ktoś tędy idzie ku nam — widzisz?

KLARA *(budzi się).* Ktoby się mógł tu zabłąkać? *(Z lasu wyłania się postać mężczyzny, który zwolna, zmęczonym krokiem podchodzi ku nim).*

SCENA 4.

CIŻ SAMI I KRZYCKI.

KRZYCKI. Wybaczcie państwo, że o tak spóźnionej porze ich dom nachodzę, ale pobłądziłem w lesie, *(przedstawia się)* Krzycki.

ZYGMUNT. Krzycki? malarz Krzycki?

KRZYCKI. Tak, malarz Krzycki.

ZYGMUNT. To pan malował ten obraz, który takie na nas niesłychane zrobił wrażenie... przed paru jeszcze laty go widziałem, a tak go żywo mam przed oczami... Mężczyzna w oplocie włosów, żywych włosów płomiennych wężów. Jakiś straszny Laokoon. Z palących się gór spływały te włosy, z dolin jeżyły się w górę — wspaniałe to — groźne... To pan malował?

KRZYCKI. Tak, to ja... naprzód malowałem włosy, potem muzykę...

KLARA *(przesuwa ręką po czole)*. Muzykę pan malował?!

KRZYCKI. Tak. Cóż pani tak zdziwiona?

KLARA. Zdawało mi się, że o tem już gdzieś słyszałam.

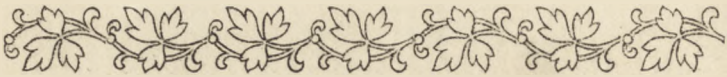

ZYGMUNT *(niespokojnie).* Słuch o panu całkiem w ojczyźnie zaginął.

KRZYCKI. Odkąd nie maluję.

ZYGMUNT. Jakto? Pan już przestał malować?

KRZYCKI. Ja teraz dopiero uczę się patrzeć... To trudna rzecz umieć patrzeć... A jest tu na co patrzeć... Byłem w Alpach, w Apeninach, Szkocji, a nigdzie nie widziałem tej piękności, co tu...

ZYGMUNT. A cóż naprowadziło pana na tę myśl by tu przyjechać?

KRZYCKI. Sprawy rodzinne.

KLARA. Sprawy rodzinne?

KRZYCKI. Tak, ja z tych stron...

KLARA *(przerażona).* To... to... pan... bratem...

KRZYCKI. A tak, bratem Ludwika.

KLARA. Ludwika?!

KRZYCKI. Cóż to tak panią dziwi?

KLARA. Nic — nic — ja znałam pańskiego brata.

ZYGMUNT *(niespokojny — zagaduje).* Toś pan przy tej sposobności tu zawitał...

KRZYCKI. Tak — szukałem milczenia i tu je znalazłem... A wy tu macie milczenie... Ot tam na tym stawie rozpostarło się takie głuche, straszne milczenie, powiedziałbym milczenie cierpienia, strasznego, dławiącego cierpienia, co paszczę rozdziawia, a krzyknąć nie może, coby się chciało kurczyć w konwulsjach, rozprężyć się w jakimś potopie, a skały rozszarpać, by się módz przez nie przelać. A ten straszny pierścień skał strzeże swego grobu — tak grobu — bo przecież się kiedyś weń stoczyć musi. — Tej groźnej ślubnej obręczy żadne szały jego nie rozerwą: podmulą, poszczerbią, ale nie skruszą.

ZYGMUNT. O jakim pierścieniu pan mówi?

KRZYCKI. O pierścieniu gór, co stawów strzegą... A straszny to ślub zawarty między dwoma żywiołami... Przed tygodniem patrzyłem całą noc na tę śmiertelną walkę, to rozpaczne szamotanie się uwięzionego stawu. Jak wściekły ciskał się o skały, obryzgiwał je swą pianą niemocy i bezsilnego szału, wyrzucał się aż na granie, bluźnił, ryczał, wlewał najpotężniejsze swe bałwany w szczeliny i wnęki — a nad ranem leżał już spokojny, zziajany, dyszący, a wschód słońca złocił krew, lejącą się strugami z jego ran. — Rzeczywiście — wyglądało to, jakby cały staw krwią ociekał... a gdym go dziś żegnał, leżał w oplocie strasznego pierścienia w ponurem milczeniu, bezwładny, bez ruchu...

ZYGMUNT *(podniecony)*. Tak! ot tak trzeba na

te piękności patrzeć: krwią ociekający staw — staw — skrępowany — Prometeusz, co kajdany szarpie i bluźni, a potem milczy zaciekle, gotując się do nowych walk.

KRZYCKI. Do nowych bezsilnych męczarni.... To tak, jak u ludzi. Każdy z nas ma taki staw w sobie, takim pierścieniem strasznemi śluby związany...

ZYGMUNT *(coraz niespokojniejszy).* Tak — tak toś pan niezwykle trafnie porównał duszę ludzką z tym stawem, który w ustawicznych męczarniach rozbija się o skały niemocy...

KLARA *(jakby się budziła):* To pan także był nad tym stawem, wtedy podczas tej burzy?

KRZYCKI. Tak, pani — leżałem całą noc w kosodrzewinie i patrzałem na te rozpaczne zapasy; na te bezsilne szały. Księżyc lał swój blask na wodę, ciskał się na spienionych grzy-

wach bałwanów, potokami spływał w ich doliny, rozbryzgiwał się na grzebieniach. Zdawało się, że to nie woda, tylko jakaś otchłań białego metalu, gotującego się na ogniu podziemnego wulkanu. Gotował się staw metalu, wrzał, kipiał, tryskał warami — było to dziwnie a strasznie piękne tą przedpotopową pięknością w tworzeniu — i jeszcze jedną chwilę przeżyłem wtedy, tam nad tym stawem, którego nigdy nie zapomnę. Na przeciwnym brzegu schronisko, ze schroniska wyszła kobieta. *(Klara drgnęła),* usiadła na skałach i patrzyła na staw. Nie widziałem jej twarzy oczyma, ale ja ją znam, wiem, że znam, jak siebie samego, jak ten staw, co swój pierścień chciałby rozerwać!

ZYGMUNT *(niespokojnie).* Pan widział owej nocy, przed tygodniem, postać kobiety nad tym stawem?

KLARA *(niespokojnie zagaduje).* Może panowie przejdą do pokoju, poczyna być chłodno?

KRZYCKI. Ależ cudowny wieczór.

ZYGMUNT *(badawczo).* To bardzo ciekawe, więc Pan nagle ujrzał jakąś postać, białą postać — nieprawda?

KRZYCKI *(zdziwiony).* Tak białą postać kobiety.

ZYGMUNT. Może to tylko był majak? *(Nie spuszcza oczu z Klary, która zmieszana unika jego wzroku).*

KRZYCKI. Może być, ale w tej chwili było to zjawisko dla mnie najrzeczywistszą jawą.

ZYGMUNT. I cóż dalej?

KRZYCKI. Zbliżała się zwolna do stawu, wahała się, potem upadła na kamieniach, patrzyła długo na staw z jakiemś rozpacznem skamienieniem... a może mi się tylko tak wydawało...

ZYGMUNT *(coraz niespokojniej).* I długo tak siedziała?

KRZYCKI. Nagle zerwała się jeszcze dziksza burza, jęknęły kosodrzewiny, wicher już nie wył, ale chuczał, rozbijając się o ściany turni. Usłyszałem wtedy wyraźnie krzyk przerażenia — a może zdawało mi się, że słyszę ten krzyk i postać znikła nagle . . .

(Klara z coraz większym wysiłkiem panuje nad niepokojem).

ZYGMUNT *(zagaduje).* Na zbyt poważny ton nastroiła się nasza rozmowa . . .

KLARA. A tak — tak . . . aż czasami dreszcz trwogi mnie zbiegł. *(nadsłuchuje)* Pola tak pięknie gra . . . Chodźmy posłuchać muzyki.

KRZYCKI. Pani bratowa?

KLARA i ZYGMUNT. Pan ją zna?

KRZYCKI. Bardzo dobrze — z Paryża.

ZYGMUNT. Pan niezwykle podniecony, może pan

spocznie... Ja nieraz byłem przy tym stawie; to podniecenie z przemęczenia.

KRZYCKI. O nie, nie, to nie to, panie, ja tylko dlatego podniecony, że wracam z kościoła, z mszy żałobnej...

KLARA *(przerażona)*. Z mszy żałobnej?! *(Zygmunt badawczo patrzy na nią).*

KRZYCKI. Za człowieka, dla którego chcę na tem miejscu, na którem podczas tej burzy zamajaczyła mi się postać kobiety, mauzoleum zbudować.

ZYGMUNT. Mauzoleum? czym dobrze zrozumiał? *(Klara z coraz większą trwogą wpatruje się w Krzyckiego).*

KRZYCKI. Tak, mauzoleum, i pan mi je zbuduje, stworzy. Ja wszystko poświęcę, niczego szczędzić nie będę, by pan mógł stworzyć coś olbrzymiego, coś, za czem dusza pańska się rwie i tęskni. Jam bogaty.

KLARA *(w najwyższym lęku).* Chodźmy, chodźmy, pójdziemy w dolinę — noc taka jasna — a pan będzie mówił o włosach — tak o czerwonych włosach, strasznych potokach włosów z ognia...

ZYGMUNT *(niespokojnie).* Klaro?!

KLARA *(nieprzytomnie).* Tak... o włosach, a ich strumienie będą spływać po stopniach tego mauzoleum — jutro tam pójdziemy...

KRZYCKI. A tak — na to miejsce, gdziem ujrzał białą postać.

KLARA *(nerwowo).* A tak — tak... muszę to miejsce obejrzeć — jutro — jutro...

ZYGMUNT *(patrzy twardo na nią, chcąc opanować jej zmieszanie).*

KLARA. Ach, jak niedobrą jestem gospodynią... nie pomyślałem o posiłku — wszak pan tak zmęczony. *(Kieruje się ku drzwiom, zniewo-*

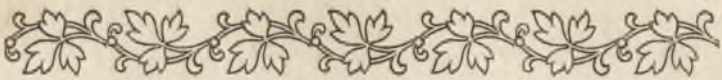

lona czemś, odwraca się nagle). . . . A . . . a . . . dla kogoż to mauzoleum?

KRZYCKI. Dla brata mego.

KLARA *(w osłupieniu).* Dla brata!?

KRZYCKI. Brat mój umarł.

KLARA *(w najwyższem przerażeniu).* Umarł?! *(bełkocząc)* umarł . . .

ZYGMUNT *(twardo).* Umarł!

AKT DRUGI

(Wnętrze gór. Staw, wokół wysokie szczyty, na boku wpół rozwalone puste schronisko. Wśród rozrzuconych głazów i kosodrzewiny siedzą Pola i Krzycki.

SCENA I.

KRZYCKI. Pani bardzo zmęczona?

POLA. Nie — nie miałem czasu być zmęczona . . .

KRZYCKI. Tak, musiałem pani wreszcie to wszystko powiedzieć. Teraz się wstydzę, żem tak duszę mą przed panią obnażył.

POLA. Niegodnam tego?

KRZYCKI. Ależ nie to, nie to, tylko dusza moja niezmiernie wstydliwa, lęka się blasku. Dla tego spętałem się z tą kobietą — pani wie, Krystyną — by jej czerwonemi włosami ją owinąć.

POLA. Włosami Krystyny chciał ją pan zakryć? Wstyd własnej duszy zakryć — ogniem ją przetrawić i spopielić — tak?

KRZYCKI. Więcej jeszcze, tak ją spętać silnie zwojami tych żrących włosów, by nic jej dotknąć, nic zranić nie mogło, by jej było miękko i dobrze . . . Pani rozszarpała je, rozrzuciła na wszystkie wiatry — i otóż w burzy tych włosów dusza ma drżąca, przerażona, chwiejna, jak te głazy, co lada chwila runąć mogą, rozsypać się w całe morze piargów, przez któreśmy przechodzili . . .

POLA *(zamyślona)*. I to nie była miłość?

KRZYCKI. Nigdy. Jam się jej bał, ona dyszała tym jadowitym oddechem, co mnie pchał w odmęty trwogi, strachu przed sobą, przed życiem jam z nią był skuty łańcuchem skazańca. Jak królik drżałem przed otwartą paszczą węża,

a nieprzeparta siła rwała mnie w jej otchłań... Nie ja sam czułem tę trwogę, co przykuwa i ciągnie. Panią samą zdjęła ta trwoga, dlatego pani tak nagle zniknęła...

POLA. Uciekła.

KRZYCKI. Przed czem?

POLA. Przed nią, przed panem. Nie mogłam znieść tego wzroku, co nienawiścią i zemstą dyszał, nie mogłam spojrzeć w te jadowite, zielone oczy, co ostrą stalą obślizgiwały się o moje serce, by się w nie wreszcie wbić. Dreszcz mnie przeszedł, gdy z dzikim śmiechem mówiła mi, że pragnie mieć jeszcze czerwieńsze włosy, że chciałaby je zlać strugami krwi mego serca, wykąpać je, pławić je w misce — jak ona mnie nienawidziła!

KRZYCKI. Była w tej nienawiści jasnowidzącą, wiedziała wszystko, choć w najtajniejsze głę-

bie mej duszy skryłem przed nią mą świętą tajemnicę . . .

POLA *(zamyślona).* I pławiła swe włosy w mej krwi . . . Jak ja wtedy cierpiałam . . . Pan rwał mnie z sobą, pan zdołał mnie przed samą sobą, odsłonić, pierwszy raz zetknęłam się z duszą mężczyzny i to było dla mnie jakby objawienie, jakby jakieś zwycięskie Halelujeh, i tem straszniejszy mój ból, gdy przyszło krzyczeć żałobną fanfarę, bolesne Dies irae na pierzchłych majakach szczęścia . . . A była chwila, że przestałem się panu opierać, chłonęłam w siebie ponury czar pańskiej duszy, sama się otulałam jej jesienną żałobą, ogien pańskiej sztuki począł mnie trawić, sztuka pańska zagłuszyła moją, ja grałam pański twór, te straszne wizje, które mózg pański na płótno ciskał, te palące się morza i światy w pożarach, a włosy Kry-

styny gorzały coraz dzikszą czerwienią, zieleńsze jeszcze stawały się jej oczy — a ja uczułam nagle, że staję się ofiarą wampira, który krew ze mnie wysysa, nie wysysa, ale ją chlipie, ocknęłam się przerażona i wtedy z wielkim krzykiem wyzwolenia obudziłam się. Zapóźnom się obudziła — gdym uciekała — tak! uciekała, gnana szalonym lękiem, słyszałam za sobą przeraźliwy krzyk: »zapóźno« — czerwona Krystyna krzyczała: »zapóźno«!

KRZYCKI. Dla niej zapóźno i dla mnie zapóźno. Nic odtąd nie mówiła, tylko jej oczy się rozwarły tak strasznie, jakby chciała całego mnie pochłonąć i w duszy mej coś zniszczyć, spalić, ale ogień jej oczu był za słaby — gasł — gasł. —

POLA. Nigdy nie zgaśnie — nigdy silniej nie gorzał, jak teraz, gdyś pan od niej uciekł. Po coś

pan to zrobił? Jam się od pana oderwała — jam starała się każde wspomnienie o panu, o każdej chwili upojenia i szału z panem w mej sztuce utopić. Burza przeleciała przez moją duszę — połamała gałęzie, poniszczyła kwiaty, palący Samum wysuszył źródła, ale to, co zostało, starczy, by mą duszę rozpierać od końca do końca, ale już nie obłędnem Halelujah upojeń, lecz grozą bólu. Jestem panu wdzięczna za ten ból — jestem Krystynie wdzięczna, bo spławiła się w mej krwi. Nie mąć mi pan już teraz mego spokoju — nie przepalaj pan mojej muzyki, by mi nie zamilkła, bo ostatni akord, który uderzę, będzie mym ostatnim tchem.

KRZYCKI *(uśmiecha się boleśnie).* Ja nie chcę pani spokoju niszczyć — jam pani nie szukał — to przypadek . . . nie myślałem, że panią tu spotkam. Po wyjeździe pani rozluźniły się spój-

nie i więzy mej duszy — potem jęło się w niej coś rozpadać i wszystko runęło w przepaść. Teraz nic nie czuję, prócz niemocy. — Ma pani słuszność. Nigdy oczy Krystyny nie gorzały silniej, jak teraz. A wie pani co to niemoc — to się nawet powiedzieć nie da... To znaczy być żywem pogrzebany, rozdrapywać w ostatniej rozpaczy własne swe ciało, gryźć ziemię, dławić się nią, dusić się — to... ale cóż o tem mówić? Mieszkałem parę dni w nędznej kolibie nad tym małym stawem — pokochałem ten staw, bom patrzył w własną duszę. Woda ciemna, gęsta, jakby zgniła, dno jego zamulone, a na tym dnie przewłóczą się leniwie ociężałe płazy... powietrze nad tym stawem inne... ciężkie, przesycone wilgocią, stęchłe, jak oddech grobów... A staw, jakby już żyć przestał — jednej zmarszczki na nim

nie widziałem, ani cień uśmiechu nie prześliznął się przez tę martwą, szklistą płaszczyznę...

POLA *(bierze tkliwie jego rękę).* Jaki pan biedny!

KRZYCKI *(nagle twardo).* Chyba dlatego, że staw mej duszy śmiać się nie umie, że nie umiem śmiać się ze siebie, z mej niemocy i z tego, żem biedny...

POLA. Innego pana poznałam, innego... Och nie!... nie chcę myśleć, nie chcę się upijać wspomnieniami...

KRZYCKI. Nie upijajmy się... zapóźno — a takbym pragnął, takbym pragnął porwać panią, jak ongi zmusić rzucić się na oślep w wiry szału i ognia... *(bierze jej rękę)* Ręka pani opadła bezwładna, *(nagle spostrzega pierścień)* Jak ja pani wdzięczny, że pani jeszcze ten pierścień nosi... święty pierścień ślubów, zawartych między człowiekiem a utajonemi mocy...

Pani wie, że ten pierścień ściągnięty z palca Boksera, poległego w bitwie gdzieś w Mandżurji...

POLA. Mówił mi pan o tem.

KRZYCKI. Należał do sekty, której członkowie na śmierć i życie tym pierścieniem z nieznaną a straszną potęgą się wiążą...

POLA. Wiem — i ja należę do tej fatalnej sekty...

KRZYCKI. Nie przestaniesz go pani nigdy nosić...

POLA. Nie — a zresztą toby już nic nie pomogło, chciałam go panu kiedyś odesłać — teraz go już nie chcę zdjąć — on mnie związał z cierpieniem — a cierpieć, to tworzyć.

KRZYCKI. Z cierpieniem i wspomnieniem o mnie?

POLA *(cicho)*. Tak.

KRZYCKI *(całuje długo jej ręce, Pola głaszcze, zapatrzona w dal, jego włosy — patrzą na siebie długo — ręce żegnają się)*. Na zawsze.

POLA *(jak echo).* Na zawsze. —

(Milczenie).

POLA *(po chwili).* Zapewne Zygmunt i Klara poszli inną drogą, bo powinniby już tu być.

KRZYCKI. Dziwny smutek zdawał się gnębić panią Klarę dziś dzień cały. Taka była blada, Zygmunt zasępiony . . .

POLA. Pan zaraża swoim smutkiem.

KRZYCKI. Tak, wczoraj byłem smutny, bom na mej drodze ujrzał znowu Krystynę.

POLA. Krystynę?

KRZYCKI. Tak, Krystynę — ona tu gdzieś jest w pobliżu, czuję to — może za mną goni — może jest w jakiemś sanatorjum.

POLA. A więc nie myliłam się, żem ją widziała. Gdzieś ją pan spotkał?

KRZYCKI. Siedziała w powozie, sama jedna, opadła bezwładnie w poduszki. Powóz stał,

bo konie wypoczywały, droga szła pod górę, a koła zaryły się w błocie... Pani niespokojna?

POLA. Nie, nie, nie boję się już Krystyny...

KRZYCKI. Widziałem powóz i jak w jasnowidzeniu wiedziałem, że ona w nim siedzi. Nogi zachwiały się podemną, począłem drżeć na całem ciele i nie wiem, jak nagle stanąłem z nią oko w oko... i patrzałem. Leżała oparta o poduszki, blada — nie, nie blada, szara raczej bladością ludzi w konaniu. Oczy były zamknięte, ale twarz patrzała — patrzała na mnie. — Wiem, że chciałem coś powiedzieć, dławiłem się jakiemś słowem — ale nagle ujrzałem uśmiech, straszliwy uśmiech otwierających się ran, uśmiech z serca sączącego strumyka krwi — uśmiech, co stygł w nadludzkich krzykach bólu. — Konie szarpnęły — wszystko znikło — a jam stał, stał przykuty, wrośnięty w zie-

mię — nie wiem, jak długom stał — obudziłem się, gdym głośno powiedział do siebie: teraz już czas. — Co to we mnie mówiło, nie wiem — alem całą drogę jak obłąkany powtarzał: czas już, czas!

POLA. Krzycki, co za straszne rzeczy mówisz!

KRZYCKI. Straszne? Dla mnie to radosna nowina.

POLA *(kryje twarz w dłonie i cicho płacze).*

KRZYCKI. *(patrzy na nią z niezmierną wdzięcznością i całuje jej suknie).*

POLA *(ociera oczy).* I niema dla pana . . .

KRZYCKI. Ratunku?

POLA *(potakuje milcząco).*

KRZYCKI. Nie. Pozostaje mi jeszcze to mauzoleum dla brata mego. *(nagle)* Niech mi pani powie, dlaczego pani Klara pytała z taką trwogą o mego brata?

POLA. O brata pana?

KRZYCKI. Tak. Mówiła, że go znała.

POLA. Nic o tem nie wiem.

KRZYCKI. Była cały czas wylękniona, a gdym powiedział, że umarł, drgnęła pobladła, powtarzała słowa bez związku, jak nieprzytomna.

POLA. Klara taka wrażliwa, wszystko ją wzrusza i przeraża.

(Od strony rozwalonego schroniska nadchodzą Klara i Zygmunt).

SCENA 2.

CIŻ SAMI.

ZYGMUNT I KLARA.

POLA. Myśleliśmy, żeście pobłądzili.

ZYGMUNT. A rzeczywiście. Chcieliśmy pójść krótszą drogą i dostaliśmy się w kosodrzewinę.

KRZYCKI. Trudno się wyplątać z kosodrzewiny (*jakby do siebie*) i to nie tylko z tej — wszystkie drogi dla niektórych kosodrzewiną porosłe . . .

ZYGMUNT (*patrzy na niego badawczo*). A tak... (*po chwili*) Więc to tu ma stanąć to mauzoleum?

KRZYCKI. Tu.

ZYGMUNT. Niezwykła miłość musiała łączyć pana ze zmarłym bratem.

KRZYCKI. Nie znałem go prawie. Żyłem zawsze zdala od niego na obczyźnie — nie myślałem o powrocie i nagle otrzymuję jego list.

KLARA (*trwożnie*). List? Przed śmiercią?

KRZYCKI. Przed śmiercią pisany, ale dopiero po jego śmierci go otrzymałem. Dziwnie mną ten list wstrząsnął. Nie to, żem widział pieczęć śmierci, przyłożoną na każdem słowie, ale groza jakaś przejęła mnie, jakaś tragedja, dławiąca się w strasznych męczarniach, a milcząca. — Nigdy nie zwracałem uwagi na ludzi, co w rozpaczy się wiją, przyodziani w zgrze-

bne koszule i włosiennice lub w szmaty purpury. Szedłem obojętny przez świat, zdziwiony, że ludzie cośkolwiek jeszcze tragedją nazywają — i nagle: tu w tych kilkunastu zdaniach, pisanych w przedśmiertnym wysiłku ręką mego brata — roztoczył się przedemną straszny ponury majestat milczącej grozy sądu ostatecznego. W tych na pozór spokojnych słowach wyły huragany, burza zdruzgotanych światów, szały wielkiej duszy . . .

KLARA (*w przerażeniu*). . . . wielkiej duszy!

ZYGMUNT (*w bolesnym niepokoju patrzy na nią — oczy ich spotykają się*).

KRZYCKI. Tak, pani, wielkiej duszy i jej to zamierzam wystawić mauzoleum.

ZYGMUNT (*ostrym tonem*) I czyż kobieta mu życie złamała?

KRZYCKI (*patrzy zdumiony*).

ZYGMUNT. Co pan patrzysz na mnie tak zdziwiony?

KRZYCKI. Słyszałem zgrzyt w tonie pana.

KLARA (*z niepokojem zwraca się do Poli*).

ZYGMUNT. Myli się pan — mnie to tylko zdziwiło, że kobieta mogła złamać wielką duszę.

KRZYCKI. Też jej nie złamała. Stała się przyczyną bólu, którym wniknął w cierpienia całego człowieczeństwa, ogarnął wszystkie tajnie bytu.

ZYGMUNT. Tak, to prawda, można być i tu wielkim . . . (*nagle*) Znał ją pan?

KRZYCKI. Nie, brat mój nie pisał jak o kobiecie, on pisał o duszy ludzkości całej, gnanej rozpacznem poszukiwaniem dróg zbawienia, błądzącej za majakami szczęścia i rozkoszy, obłędnym lękiem smaganej dalej i dalej w ten straszny pościg, raz wyzwolonej, to znów upadłej pod brzemieniem jakiejś przeklętej szatań-

skiej mocy... I w tem milczącem zmaganiu się z tą mocą, która światy tworzy i światy druzgocze...

ZYGMUNT *(przerywa rozdrażniony).* Widział pan wielkość?

KRZYCKI. Widziałem taki majestatyczny smutek nagich drzew w jesieni, poszarpanych turni, smaganych wichurami halnemi — dziki niepokój sklębionych mgieł, pędzonych w obłędnym pościgu w dół, w górę, duszonych w kotlinach szarpiących się wzwyż... Widziałem, jak się złomy skał zwietrzałych, przeżartych staczały w huku, w gromach i błyskawicach w przepaście...

KLARA *(w obłędnem przerażeniu).* Więc to wszystko tu naokół...

KRZYCKI. To wielka, naga tragedja mego brata...

ZYGMUNT *(przerywa z coraz większem rozdra-*

źnieniem). I gdzież ma stanąć to mauzoleum?

KRZYCKI. Tam na skręcie — na tej wysepce.

ZYGMUNT *(niecierpliwie).* Chodź pan, niech się jej dokładnie przypatrzę.

KRZYCKI *(podnosi się).* Ot! tam —

ZYGMUNT. Aha! *(idzie najprzód, za nim Krzycki, Pola podnosi się również, Klara ją zatrzymuje).*

KLARA *(ogląda się trwożnie).* On nas zabije, zabije — mnie — a potem Zygmunta. *(zanosi się płaczem).*

SCENA 3.

POLA I KLARA.

POLA. Klaro, moja Klaro — co ci jest? Co ci się stało?

KLARA. Nie wiesz, co się stało? On, on rozerwał rany, które się zabliźniały, przyszedł właśnie w czasie, kiedy ma przeszłość płowieć poczęła. Pocóż teraz właśnie tu przyszedł!

POLA. Kto?

KLARA. Krzycki. On jest bratem tego, o którym ci mówiłam.

POLA. Nie rozumiem.

KLARA. Ten, którego pamięć mnie zamęcza, ten, którego ręce się wyciągają do mnie z przeszłości, to ten brat Krzyckiego, dla którego on mauzoleum tu chce budować, gdzie mnie ujrzał tej nocy.

POLA. I Krzycki nic o tem nie wie?

KLARA. Nic, boby mnie tak nie męczył.

POLA. Boże, Boże, czemuś mi prędzej o tem nie powiedziała?

KLARA. Po co? na co? Na cóż by się to zdało? To wszystko zapóźno. Z chwilą, gdym się dowiedziała, że jest jego bratem, że on umarł, stało się we mnie coś strasznego. Uświadomiłam sobie nagle bezmiar mej winy... to, co

dawniej było cieniem, stało się głęboką, przepastną nocą, męczący niepokój stał się łożem tortury, nożami najeżonem — i czuję, że to, co jeszcze wczoraj było uciskiem niewyraźnym, dziś mnie przygniata tysiącem atmosfer.

POLA. Uciekaj — uciekaj — zaczem się czerwona Krystyna ukaże. — Już węże jej włosów liżą twoje stopy.

KLARA. Uciekać! Uciekać! Haha... Gdzie? On pójdzie za mną; wszędzie, gdzie się ruszę, ujrzę jego straszne oczy, jego wyciągnięte ręce. Jak to boli, jak to szarpie — gdzież się podzieję teraz? Co pocznę? Niema milczenia, bo cały świat ożył mi w jego bezgłośnym krzyku, niema ciemności, bo w jego oczach płoną błyski, co straszną jawą noc mi rozwidnią.

POLA *(porwana jej lękiem)*. Klaro, Klaro, prze-

cież ty nie jesteś winną, że on umarł — cóżeś ty temu winna, że miłość jego ku tobie była tak silna — tyś poszła, boś musiała iść za swojem przeznaczeniem . . .

KLARA. To samo powtarzał mi Zygmunt, całą noc mnie tem koił i uspakajał. Mówił z taką siłą a zarazem dobrocią, chociaż w nim całe piekło męczarni kipiało . . . Mnie już nic nie uspokoi — nic —

POLA *(bezradna w głębokiem zamyśleniu).* Przyszedł, przyszedł, aby krwawymi płomieniami czerwonych włosów Krystyny trawić i niszczyć — strumieniami piekielnego ognia ziemię i niebo przepalić . . . *(chwyta się za głowę)* I Krystyna przyjdzie — już łuną wschodzi z poza gór. — *(nagle)* a, on! Niemocą skuty potępieniec . . .

KLARA. Potępieniec! *(zrywa się nagle)* I tu, tu, tu ma mi to wiecznie stać przed oczyma!?

POLA. Zygmunt wie o nim, Zygmunt się z nim zmagał za życia jego, Zygmunt nadludzką mocą cię zdobywał i Zygmunt przywali kamień grobowy twej przeszłości!

KLARA. Z pod tego kamienia wiecznie się te ręce upiorne za mną wyciągać będą... Polu! Polu! *(zanosi się łkaniem).*

POLA *(bezmyślnie patrzy w dal i tuli Klarę do siebie).* Potępieniec, biedny potępieniec Niemocy, on nie winien, on musi wnosić nieszczęście.

KLARA *(zrywa się nagle).* Och męczyć się, cierpieć, ale sama, ale nie czuć męki Zygmunta, nie patrzeć na jego posępną zadumę, nie słyszeć tych zgrzytów bolesnych w jego głosie! — Krzycki ma słuszność — on ma zgrzyty teraz w swoich słowach — cały jest utajonym, uśmiechniętym zgrzytem. *(szybko, bezładnie)*

Dziś nad ranem myślał, żem wreszcie usnęła — a jam nie spała, przez przymknięte powieki widziałem na jego twarzy wyraz tak bezdennego zwątpienia — cała jego mocna postać skurczyła się jakby w opadnięciu, niemocy, a w oczach latały błyski, złe błyski — siedział, jakby czyhał na coś, jakby sobie już coś upatrzył — coś, na co lada chwila z całą wściekłością się rzuci. Wtedy dreszczem przerażenia śmiertelnego zbiegła mnie myśl, że to ja przyczyną tych męczarni... Polu, Polu — więc cała moja ofiara na nic — cóż mu z mojej duszy, jeżeli ona przepełniona widmami przeszłości, trwogą i przerażeniem — na co ofiara serca, jeżeli jego dym ofiarny tłucze się w kotlinach grobów — na co niewidzialne błyski mego Ja, jeżeli kirem mej Golgoty jego niebo obciągam?! Boże, Boże!

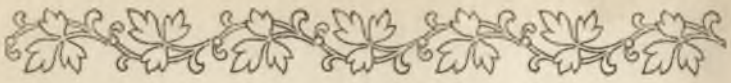

SCENA 4.

(Wychodzą z zakrętu Krzycki i Zygmunt)

ZYGMUNT *(podrażniony)*. To miejsce całkiem się nie nadaje na mauzoleum. Nie wiem, co pana skłoniło, obrać właśnie to miejsce.

KRZYCKI. Mówiłem panu, że odkąd ujrzałem tam tą białą postać...

ZYGMUNT *(przerywa niecierpliwie)*. ... siedzącą na tych kamieniach nad stawem...

KRZYCKI. Tak... w jakiejś rozterce strasznej, która już przestała walczyć i bezbronna, obezwładniona pochłania samą siebie, wtedy odrazu, jakby jakiś nagły błysk jasnowidzenia: tam nie gdzieindziej stanie mauzoleum.

KLARA *(na której twarzy widać mękę, wstaje)*.

ZYGMUNT. Co? odchodzisz?

KLARA. Zaraz powrócę, chcę tylko zaczerpnąć wody i ochłodzić czoło — słońce tak bardzo

dziś paliło *(odchodzi w głąb i widać jak niespokojnie wpatruje się w Zygmunta, przez niego niewidziana. Pola wychodzi wraz z nią).*

ZYGMUNT. W jakim związku pozostaje ta postać z mauzoleum?

KRZYCKI. Mój mózg — moja fantazja związała mego brata z tą kobietą.

ZYGMUNT *(drgnął).* Wystawił pan sobie potępieńczą duszę, która się spopiela w żałobie za pańskim bratem?

KRZYCKI. Tak, panie — brat mój był związany z tą kobietą — z majakiem tej kobiety — ona była przyczyną jego cierpień, bo gdzieindziej kazało jej przeznaczenie szukać szczęścia . . .

ZYGMUNT. Skąd to pan wiesz?

KRZYCKI. To są słowa mego brata.

ZYGMUNT *(niecierpliwie).* Ale dlaczegoż ta ko-

bieta po jego śmierci pogrążona w takiej rozpaczy, jeżeli szczęście znalazła?

KRZYCKI. Bo czuje się winną, że dusza tamtego tak bardzo cierpiała.

ZYGMUNT. Jakaż jej wina?

KRZYCKI. Żadna. Zresztą wszystko może być winą — najdrobniejsza, niewidzialna drobinka może zaciężyć całym bezmiarem winy — ta urojona wina może całe światy swym ciężarem przywalić, ubezwładnić i w niwecz obrócić.

ZYGMUNT. Tak... tak... *(zapada w zamyślenie).*

KRZYCKI. Pan zdaje się nie słucha tego, co mówię?

ZYGMUNT. Przeciwnie — przeciwnie.

KRZYCKI. A przypuśćmy, że dusza tej kobiety jest wrażliwa, głęboka i delikatna... Zniszczyć człowieka pierwszego lepszego, to głupstwo — zdeptać małą duszę, to zasługa — obowiązek

poniekąd — ale być przyczyną, że wielka dusza z bólu kona . . .

ZYGMUNT. Tak — to straszne przeznaczenie: być tego przyczyną.

KRZYCKI. I to najsmutniejsze, że ta męka nie ma właściwie żadnej logicznej przyczyny — cóż winna maleńka iskierka, jeżeli pada, nie wiedząc, że cały pożar światów wzniecić może . . . cóż jedna kropelka, nieświadoma, że, spływając, morze przeleje? . . .

(Długie milczenie).

KRZYCKI *(prawie z lękiem).* I widzi pan, gdy ta postać nagle się zerwała, stanęła chwilę, jak w osłupieniu, a potem w strasznem przerażeniu jęła uciekać. Zarażony lękiem sam spojrzałem: nad stawem w groźnym niebosięgłym majestacie stał mój brat — nie — nie stał — ale zdawał się być wrośniętym w ciemne i poszar-

pane turnie — zdawał się być niemi samemi, a odbiciem swym zlany ze stawem — wraz z nim szaleć — wirować — wyciągać ręce za nią . . Usłyszałem nieludzki krzyk, jaki ziemia wydaje, gdy ją wulkany podziemne na strzępy rozszarpują i wszystko znikło . . .

ZYGMUNT *(zrywa się nagle i wpatruje się przed siebie, nie widząc wcale Krzyckiego).*

KRZYCKI. Co się panu stało?

ZYGMUNT. Nic.

KRZYCKI. Tak pan strasznie zbladł, żem się o pana przeląkł.

ZYGMUNT *(zagaduje).* To nic — to nic — to zawsze tak w chwilach, kiedy mnie ta nagła jasność ogarnia. — Teraz już wiem jak to mauzoleum ma wyglądać — tak — rzeczywiście musi stać na tem miejscu . . . doskonale rozumiem, dla czego pan je wybrał — dosko-

nale... I pan tak wczuł się w mękę tej kobiety, jakby ją pan znał?

KRZYCKI. Rzeczywiście znałem w tej chwili — przeżywałem z nią razem to wszystko.

ZYGMUNT. Więc ta kobieta, to tylko projekcja własnej pana duszy?

KRZYCKI. Być może. Każdy z nas dźwiga ten ciężar win niepopełnionych — lub popełnionych — to wszystko jedno. — I ja w tej samej chwili szamotałem się z tym samym błędnym bólem i obejmowałem nogi Anioła, mocowałem się z nim i wołałem: pobłogosław mnie!

ZYGMUNT. I pobłogosławił?

KRZYCKI. Nie mógł.

ZYGMUNT (*dziko*). Ja go zmuszę, ja wymogę na nim błogosławieństwo — to, to mauzoleum będzie błogosławieństwem Anioła, któregom ja do tego zmusił. Ale wie pan — ja mam jeszcze

lepsze miejsce na mauzoleum, o którem pan myślisz. (*zbliża się doń tajemniczo*). Patrz pan — tam na drugiej stronie jest perć, djabelska perć, niedostępna, nikt tam podobno nie był, stamtąd się nie wraca...

KRZYCKI (*zaciekawiony*). Nigdy się stamtąd nie wraca?

ZYGMUNT. Nigdy... Tam jest maleńki staw, martwy staw, staw, który umarł — czarny, jak skrzepła krew — raz tam byłem.

KRZYCKI. I pan wrócił?

ZYGMUNT. Bo wrócić chciałem — widziałem go z góry w głębokiej, czarnej przepaści — szatański staw — skamieniałem ze zgrozy — to straszniejsza groza, jak groza milczenia — rozumie pan? I wróciłem... A teraz zostaw mnie pan samego... Ja teraz muszę zostać sam z moim Aniołem...

KRZYCKI. A ja pójdę watrę rozpalić — wieczór nadchodzi — niech szukającym drogę wskaże do miejsca, gdzie pan zmusił Anioła, by pobłogosławił... *(nagle przystaje)* Więc wchodzi się na tę perć, ale z niej zejść nie można do tego stawu śmierci?

ZYGMUNT. Nie, wystarczy spojrzeć.

KRZYCKI. Tędy się tam idzie? *(wskazuje ręką w górę).*

ZYGMUNT. Tak, tędy...

(Krzycki wychodzi.)

SCENA 5.

ZYGMUNT *(Sam, opada na ziemię i patrzy przed siebie w posępnej, zaciekłej zadumie. Nagle zrywa się).* Zmuszę go! Nie będę go błagał — musi pobłogosławić *(znowu skupia się w sobie. W głębi widać wracające Polę i Klarę. Patrzą chwilę na Zygmunta.*

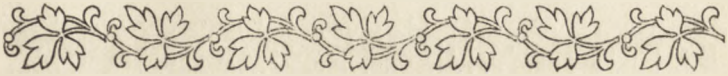

Pola szepce coś do Klary, wskazuje stronę, w którą pójdzie. Rozstają się, Klara idzie zwolna, z westchnieniem, przystaje jakby tchu jej brakło, patrzy z lękiem na staw, odwraca się i podchodzi szybko do Zygmunta).

SCENA 6.

KLARA *(wsuwa swą rękę pod jego ramię, tuli doń głowę, po chwili patrzy na niego)* Zygmuncie!

ZYGMUNT *(tuli jej głowę).* Cicho — cicho.

KLARA. Nie mogę patrzeć, jak cierpisz.

ZYGMUNT. Żyję twoją męką.

KLARA. Powiedz mi wszystko, pozwól mi wejrzeć w najtajniejszą szczelinę twej duszy, a uspokoję się, choć trochę się uspokoję.

ZYGMUNT. Ty się nie uspokoisz — za bardzo zarył ci się w duszę, w pamięć. *(gorzko)* Jego wielka dusza wyrosła ci ponad najwyższe mau-

zolea, w jego cieniach wszystko ci się strapia — wszystko ginie, tylko ten jeden potworny cień na twej i na mej duszy...

KLARA *(przerywa)*. Zygmuncie...

ZYGMUNT. Tak, i na mej duszy. Rozlał się w krąg, leży na niej ołowianem ciężarem. *(gwałtownie)* Czy nie rozumiesz, że moja męka może straszniejsza od twojej? Gdzież ja mam twoją duszę, którą taką walką zdobywałem obcej sile, kiedy w niej pamięć o kim innym gości — och! nie gości, ale się wszechwładnie panoszy — gdzież kącik dla mnie? *(wybucha)* Nie masz go dla mnie?

KLARA. Nie bluźnij, Zygmuncie. Dusza moja jest twoją, dusza moja rozpaliła się w ognisku twej duszy, nią żyje i gore...

ZYGMUNT *(opanowuje się)*. Wybacz, żem się uniósł. Ja rozumiem twój niepokoj, żeś krzy-

wdę wyrządziła, ból zadając, może bezwiednie, może nie przeczuwając, że mu ją wyrządzisz. *(Nagle)* Czyś ty się z nim wiązała!?

KLARA. Nie, nie... ale wiesz czem się związać można, co w życiu dwoje ludzi wiąże. Oślepiona twoim blaskiem, poszłam z tobą w szczęście bez granic — ale mnie nie wolno być szczęśliwą — on się mści na mnie, odrywa mnie od tego szczęścia, szarpie mnie z powrotem...

ZYGMUNT. Czytałem w twej duszy, z twej i swej własnej męki stworzyłem to dzieło, na które z przerażeniem patrzyłaś. W mej miłości ku tobie wyolbrzymiłem siebie, oplot twych ramion dał mi tę moc. Tyś lekka, boś moją, boś tym wywalczonym, siłą moją wydartym skarbem. Ale to, co przeszłością nazywasz — co cię w taki niepokój bólu smaga, to strasznie ciężkie... Dopóki to przebłyskiwało w lekkich

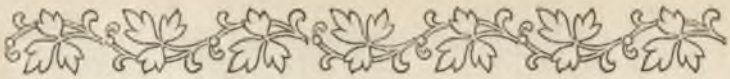

drżeniach, w drażnieniu niechcących się zabliźnić ran, miałem zwycięską pewność, ale od wczoraj gną się moje nogi — od chwili, gdyś Krzyckiego zaczęła wypytywać o brata, drżąca, niepewna, z trwogą i przerażeniem w głosie, zadrżałem, a dusza zaczęła niespokojnie łopotać skrzydłami... Powiedz mi, dlaczego moja dusza się zlękła?

KLARA. Zygmuncie, to nie ja pytałam, to co innego we mnie, czego nie znam — nie chciałam się pytać, coś mnie zmusiło do tego.

ZYGMUNT. Tem gorzej. Tak tkwi głęboko w tobie, że nawet dla twego ja ukryte. — Tem gorzej, bo łudzisz się, że go niema w tobie, a nigdy się od niego nie uwolnisz.

KLARA. Już się uwolniłam, ale wejście Krzyckiego tak mnie ogłuszyło — taki wicher wspomnień mną okręcił...

ZYGMUNT *(gorzko).* ... żeś poczęła drżeć, jak osika ...

KLARA. Wysłuchaj mnie w całej twej niezmiernej dobroci. — Patrz, jam tak skołatana —

ZYGMUNT. A we mnie się wszystko załamuje.

KLARA. Wysłuchaj mnie — zajrzyj w moją duszę, — wczoraj mówiłam ci, byś głębiej w nią twe oczy zapuścił — na oścież otwieram ci wrzeciądze do najtajniejszych krużganków — wszędzie ty ... ty ...

ZYGMUNT *(twardo).* Powiedz — on!

KLARA. Nie bądź twardy — ja twój ból czuję — ja czuję, jak ty błądzisz w niepewności, jak co krok po omacku się potykasz...

ZYGMUNT *(wybucha).* Bo cię kocham, czy tego nie widzisz? Bo gdym już, zdało mi się, stanął na brzegu pewną nogą, grunt z pod nóg mi się usuwa — w przepaść lecę — Klaro,

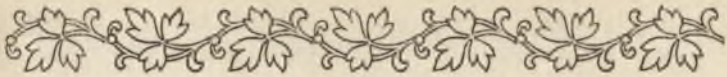

Klaro, tu, tu, na mojem sercu spocznij — niech dusza twa nie odwraca twarzy wstecz — ach! jak to boli!

KLARA *(łka cicho).*

ZYGMUNT. Nie płacz, nie płacz — ale moja miłość nie znosi innych Bogów, nie znosi cieni, w których chciałabyś z przed mych oczu zniknąć — powiedz *(twardo)* chciałabyś się w cieniach tych rozpłynąć? *(nagle ochryple)* A może tybyś chciała się z nim zlać!?

KLARA. Nie, nie, to mściwa ręka, która chce mi moje szczęście burzyć, wsuwa się między ciebie a mnie — ale napróżno — jam z tobą zrośnięta — tylko . . . pod nogami czuję drżenie, jakieś odległe podziemne fale biegną pod memi stopami i wtedy ziemia się usuwa, w oczach mi ciemnieje i głowa się kręci . . .

ZYGMUNT *(przerywa gwałtownie).* Jak wczoraj, gdyś powtórzyła za Krzyckim: umarł!

KLARA *(oszołomiona, bezwiednie powtarza).* Jak wczoraj. Ujrzałam nagle te rozpacznie wyciągnięte ręce i ten bezgłośny krzyk...

ZYGMUNT *(rozpacznie).* A nie posłyszałaś krzyku mego serca?

KLARA *(przerażona).* Twe serce krzyczało?

ZYGMUNT. Nie słyszałaś go? — nie!? A to krzyk może boleśniejszy, jak ten tamtego.

KLARA *(z coraz większem zdumionem przerażeniem).* Nie!

ZYGMUNT *(gwałtownie).* Nie widziałaś moich rąk, jak boleśnie się wpijały w skałę, by cię potwór w otchłań nie wciągnął... Nie widziałaś, jak się moje ciało w wysiłku śmiertelnym prężyło, by cię na siebie silniej podrzucić?

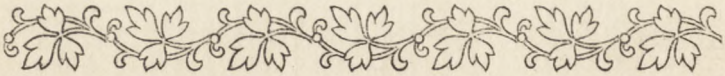

KLARA *(cofa się oszołomiona, Zygmunt postępuje za nią).*

ZYGMUNT *(coraz goręcej).* Słów znaleść nie mogłem w gorącej wdzięczności, z ubóstwienia i miłości, gdyś w natchnionem uniesieniu składała mi w darze twą duszę, twe serce, całą atmosferę niewidzialnych blasków między tobą a mną. Jam to stopił w sobie, jam te najkosztowniejsze dary zamknął w skarbcu, i ty, ty pozwolisz, by ręka tamtego pieczęcie z niego zdzierała? Powiedz — pozwolisz? *(chwyta ją za ramiona).*

KLARA *(zrywa się z mocą).* Nie! Nie!

ZYGMUNT. Jam ciebie teraz niepewien. Ja ci tu mauzoleum zbuduję, tu będziesz je mieć wiecznie przed oczyma.

KLARA. Zbuduj, zbuduj olbrzymi ołtarz twej miłości i twej potęgi — zbuduj! Chcę je wie-

cznie mieć przed oczyma i wiedzieć, że tam moja przeszłość pogrzebana!

ZYGMUNT *(z nagłym wyrzutem).* Klaro!

KLARA *(przerażona dziwnym tonem, cofa się).* Co? — co? Zlękłam się ciebie, takie masz straszne błyski w oczach — już je dziś rano widziałam.

ZYGMUNT *(patrzy głęboko w jej oczy).* Tego wieczoru byliśmy tylko my sami w schronisku. Nikogo prócz nas. Pola została w domu.

KLARA *(powtarza zniewolona).* Byliśmy sami.

ZYGMUNT. Tyś podeszła moją duszę.

KLARA. Ja?!

ZYGMUNT. Tak, ty! To tyś była tą białą postacią, co się wykradła z szałasu, gdym spał.

KLARA. Ja.

ZYGMUNT. Co ci kazało tam iść? Tam nad ten staw?

KLARA. Coś mi kazało — nie wiem co. Niepokój szalał w mej głowie — jakiś wicher, taki sam, jak ten, który trząsł schroniskiem, rozsadzał mi czaszkę. Wybiegłam nad staw, myślałam, że burzę w sobie zagłuszę...

ZYGMUNT. I myślałaś o nim...

KLARA *(bezwiednie powtarza)*. I myślałam o nim. — *(spostrzega się)* Nie, nie o nim — nie wiem, o czem myślałam... ja czułam tylko jakieś przerażenie — cały staw wirował, wdrążał się w przepastny lej, woda zaczęła się weń ciskać rozszalała, bryzgać pianą o skały. A turnie wszystkie i szczyty, poczęły nabierać życia, giąć, słaniać się, wyciągać groźne, straszne ręce — z każdego żlebu, z każdego załomu, z każdej szczeliny wysuwało się coś strasznego, czyhała jakaś nieznana, tajemnicza groza, i nagle ogarnęło mnie straszliwe, obłąkane przera-

żenie, nic już potem nie wiem — uciekałam, a ziemia się podemną uginała — a ktoś mnie gonił, ktoś ręce za mną wyciągał — już, już mnie chwytał, szarpał — szalał...

ZYGMUNT. Co potem?

KLARA. Nie pytaj już — rzuciłam się na ciebie — i straszna wizja prysła.

ZYGMUNT *(twardo)*. Teraz tam ze mną pójdziesz, siądziemy na kamieniach nad stawem i tam całą noc pozostaniemy.

KLARA *(w najwyższem przerażeniu)*. Nie! nie! teraz nie, teraz bym go ujrzała i oszalałabym...

ZYGMUNT *(dziko)*. Tam teraz ze mną pójdziesz. Jam teraz gotów — tam się nad tobą błogosławieństwo dokona — ja zwalczę go, ja już go zmógłem — on pobłogosławi.

KLARA *(patrzy na niego w osłupieniu, waha się, potem nagle)*. Pójdę z tobą.

(widać z za sceny blask od watry). Zygmunt i Klara wychodzą w tę stronę. Nagle drogę zabiega im Pola na wpół nieprzytomna).

SCENA 7.

POLA. Nie idźcie tędy, nie idźcie... tam... tam... czerwona Krystyna *(wskazuje ręką w stronę, odkąd blask watry żywiej błysnął).*

KLARA *(cofając się z przerażeniem).* Czerwona Krystyna?

POLA. Watrą ją zwabił! *(wpatrzona jakby w straszną wizję)* O — o — patrzcie — patrzcie! Już jest przy nim — już rozrzuca swoje włosy! A! (*zakrywa oczy rękoma i w najwyższem przerażeniu ucieka w stronę schroniska*).

ZASŁONA.

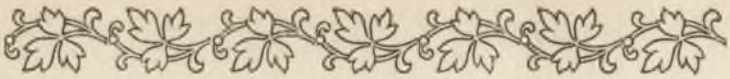

AKT TRZECI.

(Wytwornie urządzone atelier wielkiego artysty. Kilka rozpoczętych rzeźb, szkiców, studjów).

SCENA I.

(Przy oknie stoi Pola, niespokojnie wygląda, z zaciśniętemi rękoma chodzi po pokoju i znowu wraca do okna, wreszcie opada na szezlong, stojący w pobliżu okna i zanosi się strasznem łkaniem).

SCENA 2.

(Wpada przerażona Klara, stoi zdumiona na progu, a potem zwolna podchodzi do Poli i obejmuje ją wpół).

POLA *(zrywa się gwałtownie).* To ty — a Zygmunt — jeszcze nie wrócił?

KLARA. Jeszcze wrócić nie mógł . . .

POLA. Dawno już mógłby był wrócić — czuję, że jest w pobliżu — niedaleko — on wrócić się boi.

KLARA. Zygmunt boi się wrócić? Polu, co ty mówisz?

POLA. Bo wróci bez niego.

KLARA. Zygmunt się boi? wróci bez niego? cóż to ma znaczyć? Polu!

(Milczenie).

POLA *(po chwili).* Tak czekałyśmy raz z matką na ojca — późną nocą, deszcz, wicher — trzask łamanych gałęzi — lampa gasła . . . A ojciec bał się przestąpić próg domu . . . Krążył naokół, przystawał, wybiegał w pole, znowu powracał . . . a myśmy czekały, przerażone, wkulone w róg odwiecznej sofy . . . a ojciec bał się wrócić do domu.

KLARA. Czego się bał?

POLA *(nagle szorstko)*. Nie wiem.

KLARA. Nic a nic nie rozumiem. Co ty chcesz powiedzieć?

POLA. Nie, moja droga, stare, dawne wspomnienia do głowy mi się tłoczą — tak mi duszno, ciasno — chciałabym teraz te wszystkie góry wokół kazać rozwalić, rozsadzić, by módz powietrza zaczerpnąć... *(rozdrażniona)* Nie rozumiem, jak ty jesteś w stanie tu żyć — dniami, miesiącami — latami — że ty nie oszalejesz...

KLARA. Ależ przecież jeszcze wczoraj tak wszystko to kochałaś, mówiłaś, że tu ci dobrze...

POLA. Wczoraj, tak wczoraj — a dziś czuję się jak w więzieniu, czterema ścianami świat cały zabity — uciec, uciec... wyrwać się stąd!...

KLARA. To Krzycki — Krzycki swym smutkiem rozegrał tu całe powietrze i teraz wyje nam te ponure dumy...

POLA *(patrzy na nią długo).* Tyś jakaś inna dzisiaj.

KLARA. Dusza moja trwoży się, szarpie i rwie w jakiemś bezmiernem pragnieniu, boleśniejszem od cierpień, które przeżywałam.

POLA. Jakie pragnienia?

KLARA. Módz strząsnąć z swego mózgu ciężkie mgły przeszłości bolesnej, dojrzeć przez nie słońce miłości w duszy Zygmunta, by się w nim stopiły i rozwiały bez śladu . . .

POLA. I to pragnienie takie bolesne?

KLARA. Wiedziałam zawsze, że jestem kochaną, ale poprzez ten ciężki, gęsty tuman światło przedrzeć się nie mogło — nie widziałam jego miłości. Rozumiesz — nie widziałam — jak blasku słońca poprzez ciężkie opony i skłębiony wał chmur widzieć nie można. I dopiero teraz przedziera mi się ten blask poprzez czarny

gęsty mur mgieł, po za którym wielkie słońce miłości w bezmiernym bólu szaleje...

POLA. A te ręce, te rozpaczne ręce — a ten bezgłośny krzyk?

KLARA. Straszniejszy krzyk serca Zygmunta!... Gdy Krzycki wszedł w nasz dom i począł mówić o swym bracie, to było, jakby mnie ktoś obuchem po głowie walił — jego mauzoleum trzęsło mną strachem sądu ostatecznego, co włosy na głowie jeży. — Żaden skazaniec, ciągniony na szafot przez oprawców, nie przeżył tego, com ja wczoraj przy tym stawie przeżyła. Ale nagle — gdym została sama z Zygmuntem, gdy zawołał rozpacznie, czy nie słyszę krzyku jego serca, czy nie widzę jego rąk w śmiertelnym wysiłku wytężonych, by wyrwać mnie bolesnej przeszłości, gdy z wściekłością rozpaczy krzyknął, że pozwalam

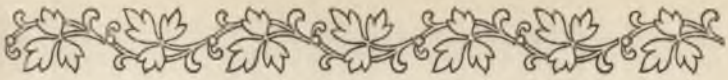

zdzierać pieczęcie ze skarbca, w którym zamknął duszę moją i serce i blask, który odemnie ku niemu idzie, wtedy czułam, jak nagle w nieludzkim bólu przedziera się do mnie oślepiający blask . . . nie wiem — nie wiem — co się ze mną dzieje — alem inna. —

POLA *(po chwili, nie słuchając Klary).* Och, jakie to straszne czekanie . . . Zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy ojciec mój bał się przestąpić próg domu . . .

KLARA. Czemuś pozwoliła mu pozostać z Krystyną?

POLA. Dla niej watrę rozpalił, dla niej! by do niego trafiła. Przyszedł nań czas . . . oh widzę ją, widzę, jak rozrzuca potok swych włosów płomiennych, jak go kusi, by się tarzał w tej pościeli z ognia. — Ha, ha . . . jej włosy, włosy — strumienie, potoki, wodospady włosów *(zrywa się dziko)* cała Niagara krwawych wło-

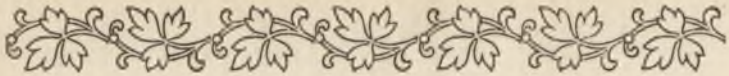

sów.— *(namiętnie)* Czemuż nie opasał nimi swych ramion, czemu nie zakręcił nią w powietrzu, nie cisnął na skały, by się na miazgę rozprysła! Czemu? Czemu?... Klaro, jam Niemoc ukochała — jam się sobie sprzeniewierzyła w tej potępieńczej miłości... Własny twór zabiłam — dziecko — sztukę moją, którą w takich męczarniach poczęłam i w sobie zrodziłam, jam sama zabiła... *(rozpacznie głucho)* Czy ty pojmujesz tą mękę, że ja nie mogę teraz iskry z pod palcy wykrzesać, że muzyka we mnie zagłuchła?!... Krzycki, Krzycki zabił we mnie muzykę — on przepalił ją tym żrącym ogniem włosów Krystyny wtedy, gdy moją muzykę w tej dzikiej orgii swych barw odtwarzał... a teraz — zapóźno... Niemocą sam się strawił i mnie zabija. — Dobrze, dobrze, że go niema, onby i was zabił... *(po chwili bolesnej*

zadumy) Och, czemuż go niema! A możebym ja z tych popiołów moją miłością iskrę życia rozdmuchała... *(z nagłym wybuchem)* Jam była powinna Krystynę usunąć z mej drogi, strącić ją w jakąś przepaść otchłanną, patrzeć, jakby ogień jej włosów gasł, gasł, jak spadająca gwiazda... patrzeć z zwycięskim uśmiechem, a potem pójść do niego powiedzieć mu: zabiłam ją! tyś teraz mój! Zbrodnią go ratować, wszystko jedno czem, ale ratować! *(z cichym uśmiechem)* Nie wrodziłam się w mego brata, onby się nie zawahał.

KLARA. Zygmunt mógłby zbrodnię popełnić?

POLA. Gdyby cię musiał nią zdobyć... Tak!

KLARA. *(w najwyższem niepokoju).* Nie mów tak, trwoga straszna ścina krew w moich żyłach. I ty tak mnie przerażasz...

POLA. Tyś nie myślała, że umiem tak kochać.

To miłość rozpaczy, to czarna msza na ołtarzu zgliszczy... a może myślałaś, że moje śluby nie tak silne? Patrz, tym pierścieniem związał mnie na wieki. Nosiłam go dotąd, a prawie nie wiedziałam, że go mam na palcu, ale wczoraj nagle, gdy wziął moją rękę i powiedział: „Jak ja jestem pani wdzięczny, że go pani nosi“ to nagle wezbrało we mnie uczucie tak bezbrzeżnej miłości ku niemu, że zapomniałam o Krystynie, o wszystkiem, czułam tylko, że jemu jednemu przynależę, że jestem z nim nierozerwalnymi śluby związana *(śmieje się cicho)* a jego niema, niema... gdzie on poszedł?...

KLARA. Pobłądził w górach, Zygmunt go sprowadzi.

POLA. Tak, tak, Zygmunt wróci z polowania, jak mój ojciec... i będzie się bał przestąpić

próg domu — a ja będę czekała z tobą, jak ongi z matką... a matka śpiewała... czekaj tylko, czekaj... taka starodawna, sentymentalna piosenka, przy której zawsze płakałam *(nuci błędnie)*:

Blade kłosy na odłogu,
jak sieroty twarz...

Zapomniałem już — a potem:

Prosząc o deszcz nieustannie,
Wyprosiłam grad...

Ach, Klaro, Klaro, jak mi strasznie... Czemu Zygmunt nie wraca... Teraz Krzycki wolny... Krystyna nie żyje — mówił, że „śmierć szczerzyła trupie zęby w jej oczach". Nie potrzebuję jej już zabijać. Krzycki mówił, że widział ją bladą, szarą, bladością ludzi w konaniu. Tak, nie dam go sobie wydrzeć — raz mi go już wydarła — teraz nie dam!

KLARA *(w bolesnem przerażeniu patrzy na jej obłąkane oczy).*

POLA. Co tak patrzysz na mnie? Nie rozumiesz, że ja go kocham? Nie dam siebie i jego zabić — siłą rozpaczy wyrwę go z objęć Niemocy. —

KLARA. Polu, Polu, co się z tobą dzieje?

POLA. Co się ze mną dzieje? Nie widzisz tego? Krystyna pławi swe włosy w krwi mego serca — a włosy jej czerwieńsze od płomieni watry, którą Krzycki rozpalił — oczy coraz zieleńsze, a usta zbielałe . . . bo . . . umrzeć musi . . . *(Milczenie. Nagle przytomniej)* A gdyby Krzycki tu powrócił?

KLARA *(drgnęła).*

POLA. Czemu nie odpowiadasz? Coś tak zadrżała?

KLARA. Przeraziło mnie twe pytanie.

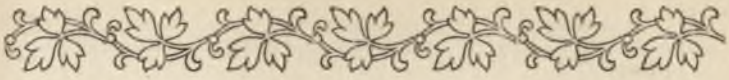

POLA. Przecież musisz się spodziewać, że wróci, skoro Zygmunt poszedł go szukać.

KLARA. Nie myślałam o tem, zdawało mi się, że to wszystko straszny sen — że to już pogrzebane — *(nagle)* Ja sobie nie mogę wystawić, by Krzycki znowu miał tu wrócić.

POLA. Nie możesz sobie wystawić?!

KLARA. Nie, nie — tylko nie przeżyłabym tej męki, gdyby się miała nanowo rozpocząć.

POLA *(z obłędnym śmiechem)*. Nie lękaj się, nie — Krzycki nie wróci... Zygmunt wkrótce nadejdzie, ale sam — teraz jeszcze się boi, próg domu przestąpić, jak mój ojciec...

KLARA. Powiedz wreszcie czemu się twój ojciec bał...

POLA *(nie odpowiada)*.

KLARA. Dlaczego milczysz?

POLA *(do siebie)*. Nie, nie... Zygmunt nie po-

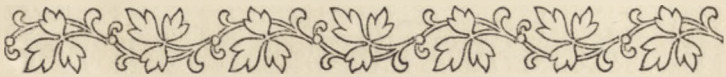

szedł na polowanie — nie potrzebujesz się go pytać, jak moja matka: „a gdzież twój przyjaciel?“ *(zdjęta lękiem)* Wiesz, co mój ojciec odpowiedział? Roześmiał się dziko: „alboż ja jestem stróżem przyjaciela mojego?“ Rozumiesz teraz?

KLARA *(w osłupieniu)*. Więc ty sądzisz, że Zygmunt...

POLA. Jak ty się przeraziłaś — nie bój się — nie — Krzycki nie wróci, ja wiem, pocóżby miał wracać... On już nie żyje, Krystyna go zabiła — on wiedział o tem, mówił, że już czas — on przyszedł tylko bratu mauzoleum budować... ha, ha, ha... mauzoleum... *(nagle niespokojnie nadsłuchuje)* Słyszysz? to Zygmunta kroki — sam idzie — sam...

SCENA 3.

(Wchodzi Zygmunt posępny i chmurny).

POLA (*podbiega do niego*). Sam?!

ZYGMUNT (*twardo*). Sam.

POLA. A Krzycki?

ZYGMUNT. Ani śladu... Obszedłem cały staw naokoło. Zwołałem górali — kazałem im obszukać wszystkie ścieżyny. — Szukali go całą noc z pochodniami w żlebach, rozpadlinach, szczelinach — nigdzie ani śladu... Przeszli na drugą stronę gór, rozglądali się po schroniskach — niestety nie było kogo się zapytać, bo teraz nikt już po górach nie chodzi... Została jeszcze bardzo niebezpieczna perć, niedostępna, pełno tam szczelin, urwisk, przepaści... tamtędy nikt się nie przedrze, tam nie poszedł... chyba...

POLA *(przerażona).* Chyba?!

ZYGMUNT. Chyba nie chciał wrócić...

POLA. Stamtąd się nie wraca?

ZYGMUNT. Nikt jeszcze nie wrócił, bo kto tam szedł, nie myślał o powrocie...

POLA. Więc . . . więc . . .

ZYGMUNT. Nie sądzę, aby Krzycki aż tam zachodził, by . . .

POLA. . . . by zginąć?

ZYGMUNT. Mógł poprostu pobłądzić. Chciał się przedostać przez szczyty na drugą stronę, ale po drodze zbłądził. Nie znał przecież naszych gór . . .

POLA. Nie można się wydostać tu stąd z tego przeklętego łańcucha?

ZYGMUNT. Nikt jeszcze tędy się na drugą stronę nie wydostał . . .

POLA. A tyś tam chodził?

ZYGMUNT. Nie potrzebowałem, ale gdyby — gdyby... wiesz jakie „gdyby“ — (*patrzy na Klarę*) jakie jedyne „gdyby“ mogłoby w mem życiu zajść, tobym próbował tamtędy się na drugą stronę dostać . . .

KLARA (*przerażona*). Zygmuncie!

ZYGMUNT (*patrzy na nią długo*). Próbowałbym przejść przez tę djabelską perć ... tam jest maleńki staw — zdaje się być na wieki zamarły — chociaż nim nie jest — tak nieruchoma i martwa jego powierzchnia, a naokół potworne, podarte skały, poszarpane wirchy jeżą się igłami — szatański płot, wrota piekła...

POLA (*dziko*). Ty wracasz z tej perci!

ZYGMUNT. Nie! Ale poszedłbym ... żaden góral, żadna kozica tamby się nie wdrapała — ale ja porobiłem sobie znaki — próbowałem wedrzeć się wąziutką szczeliną, prawie niedostrzegalnemi wnękami ...

KLARA. Tyś próbował się tam wedrzeć!?

ZYGMUNT. Tak!

POLA (*zrywa się*). Zygmunt — tyś tam dziś był!

ZYGMUNT. Dziś nie, ani wczoraj — ale mówiłem Krzyckiemu o tej perci, mówiłem mu o tym martwym stawie — tam tylko, tam powinno stanąć to mauzoleum, o którem marzył — a to nad tym stawem, gdzie on ujrzał tę białą (*patrzy na Klarę*) postać — zostawiłem dla siebie, ale nie na to, by mauzolea budować...

POLA (*patrzy na niego z obłędem w oczach*). To tyś mu wskazał tam drogę? Ty, ty?!

ZYGMUNT. Tak, ja.

POLA (*szybko, bezładnie*). Dlategoś błądził naokoło domu, obchodziłeś go dookoła... podchodziłeś i wracałeś, boś się bał próg jego przestąpić...

ZYGMUNT (*słucha zdumiony*). O czem ty mówisz? Polu!

POLA (*ochryple*). Z polowania wracasz!

ZYGMUNT *(jakby coś sobie przypominał).* Ach, o ojcu naszym myślisz. Chciałaś powiedzieć, jak nasz ojciec, nieprawdaż?

POLA. Tak! Tak!

ZYGMUNT. Mylisz się. Wczoraj może miałem chwilę takiej nienawiści, że bez namysłu mógłbym go był w przepaść trącić, ale dziś — dziś — nie...

POLA. Więc pocóż poszedłeś go szukać?

ZYGMUNT. Ja? szukać jego? Nie — ja wysłałem górali po niego — sam poszedłem nad staw i czekałem, czy i mnie może jakaś biała postać się nie ukaże...

KLARA *(zmieszana).* Więc ty wcale Krzyckiego nie szukałeś?

ZYGMUNT *(twardo).* Nie!

POLA *(z rozpaczą).* Nie szukałeś go? A ty, ty jeden tylko mogłeś go był odszukać. Aleś ty

nie chciał — ty wiesz, jaką drogą poszedł — ale nie chciałeś!

ZYGMUNT. Po co? W słaby rdzeń Niemocy nie wbiję żelaznego prętu, pocóż ruinę podtrzymywać — umarłych się nie wskrzesi.

POLA *(opada)*. O Boże, Boże! *(nagle)* Tyś go zabił!

ZYGMUNT. Na coby mi się śmierć jego zdała — kiedy już swoje zrobił.

KLARA. Zygmuncie!

ZYGMUNT *(nie słuchając)*. Gdybym miał pójść na tę perć, to doprawdy nie po to, by tam Krzyckiego szukać . . . A zresztą, gdybym czuł, że jeden z nas za wiele na świecie, gdybym jego śmiercią mógł coś okupić, pogrzebać coś, co umarło, a więcej żywe, aniżeli ty i ja . . .

KLARA. Przestań, przestań!

ZYGMUNT *(jakby nie słyszał)*. . . . nie wahałbym się ani na chwilę . . .

KLARA. Zbrodnię popełnić?!

ZYGMUNT. Tak!

KLARA. I nie zawahałbyś się?

ZYGMUNT. Nie. To nie byłaby zbrodnia, bo na tę kartę ja stawiałbym i moje życie...

POLA *(chodzi szybko po pokoju, przyciska ręce do skroni, nagle staje przed Zygmuntem)*. Tyś popełnił zbrodnię, tyś go pchnął na tę drogę!

ZYGMUNT. Ta, czy inna, to wszystko jedno. Ku śmierci dawno go już Krystyna prowadziła...

POLA. Krystyna — Krystyna... *(po chwili — chwyta się za piersi — brak jej tchu)* Tak, Krzycki nie wróci — nie wróci... *(popada w stan osłupienia)* nie wróci... Tak mi duszno — tak mnie coś dławi — a głowa pęka... powietrza — powietrza. *(podnosi się, chce wyjść, Klara chce iść za nią)*.

POLA. Nie, nie bój się, będę spokojnie tam pod drzewami siedziała i będę czekała na Krzyckiego... *(nuci błędnie)*

Blade kłosy na odłogu,
jak sieroty twarz...

ach... prawda... przypomniałam sobie *(z zupełnem obłąkaniem)*

Pójdę powiem Panu Bogu,
że to zagon nasz...

Ha, ha, ha!... a może wróci, może wróci...

KLARA *(podchodzi do niej w najwyższem niepokoju)*. Co ci jest, Polu — tyś przemęczona spocznij, połóż się, chodź, chodź...

POLA. Nie, nie... mnie tylko tak duszno, tak mi się w głowie mąci... Całe moje żniwo wybił grad — *(nuci)* pójdę powiem Maryi Pannie, że już dosyć strat... *(pręży się i wyciąga ręce)* Och, muzyki! na Boga żywego muzyki! Ognia

w palce, ognia z pod mych palców... Zygmuncie, użycz mi świętego ognia... Co tak siedzisz ponuro i nie spojrzyż na siostrę! Ha, ha, ha, tyś mu wskazał drogę. Dobrześ zrobił, dobrze — już był czas na niego. Sam to powiedział... (*strasznym żałosnym głosem*) Dziecko mi umarło — moje dziecko — (*chwyta gwałtownie Zygmunta za ramię*) Czy ty rozumiesz, że muzyka mi zamarła!?

ZYGMUNT *(posępnie)*. Niemoc cię zaraziła. Krzycki skruszył twą krzepką duszę.

KLARA *(rozpacznie)*. Biedny potępieniec!

POLA. Nie, nie — to było dla mnie niewypowiedziane szczęście, żem go raz jeszcze ujrzała, zaczem czas jego się dokonał. — Och! muzyki, muzyki! Czemu się niebo nie rozegra, czemu ziemia nie zagrzmi pod nogami szatańskim marszem pochodu potępieńców — czemu mnie

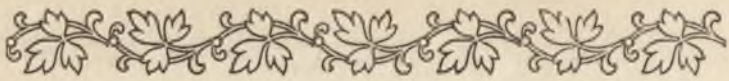

wicher nie okręci dziką tarantelą, nie porwie i nie ciśnie hen po za tę djabelską perć, w ten zamarły staw — razem z nim! Muzyki. A tu głucho, głucho... *(przycicha chwilę, a potem z cichym, obłąkanym uśmiechem)* Milczymy, jak my strasznie milczymy, tu Anioł śmierci przeleciał... *(wychodzi).*

(Długie, ciężkie milczenie).

SCENA 3.

ZYGMUNT I KLARA.

ZYGMUNT. No i cóż teraz?

KLARA *(patrzy na niego z lękiem).*

ZYGMUNT. Co teraz będzie z nami? Przecież czas, byśmy o sobie pomyśleli... Przez cały czas, gdym tam dziś siedział nad stawem, to jedno pytanie grzmiało w mym mózgu...

KLARA *(chce mu przerwać).*

ZYGMUNT. Daj spokój, ja dobrze wiem, czem mnie chcesz uspokoić, wiem, że cierpisz — ja

wszystkie siły wytężam, by cię uwolnić od jarzma, które dźwigasz — ale ty nie chcesz, albo nie możesz *(coraz porywczej)* a może wcale nie pragniesz być wyzwoloną!

KLARA. Zygmuncie, nie mów dziś tak do mnie, nie tak twardo — we mnie się coś dokonuje od paru dni, ja nie wiem co to jest, jakiś chaos kłębi się, przewala w mej duszy — czujesz?

ZYGMUNT. Tyle razy to mówiłaś, żeś już przeszłość pogrzebała, że ona już w tobie zamilkła, tyle razy ją usypiałem po to tylko, by groźniejszą jeszcze falą twą duszę zalewała . . . *(z gwałtownym żalem)* Na oścież otwierałem ci moją duszę, na oścież jej tryumfalną bramę, najkosztowniejszym kwieciem wysypałem gościńce na przyjęcie mej oblubienicy — napróżno . . .

KLARA. Zygmuncie!

ZYGMUNT. Ogień z kamienia krzesałem, by cię rozpalić u świętego ogniska mego tworu, byś się wyzbyła tych znojnych, krwią bólu i rozterki ociekających dni tam w dole, byś otrzęsła się z kajdan, którem ja rozszarpywał. Zdawało mi się, że już rozkuwam ogniwo za ogniwem, że już cię mam wolną i moją — ha, ha! ha! moją!

KLARA *(coraz boleśniej).* Zygmuncie!

ZYGMUNT *(ze wzmagającym się rozdrażnieniem).* Złudzenie! Sam siebie okłamywałem. Zdawało mi się, że cię mam, a potrzeba było Krzyckiego, bym przejrzał, bym zrozumiał, czegom pojąć nie mógł, nie chciał, żeś nie była i nie jesteś moją! Głębiej, niż myślałem, tkwisz w swej przeszłości, siedzisz w niej, jak w żelaznej klatce, a jam napróżno chciał rozerwać żelazne jej pręty. Tyś nie pozwoliła, tobie w niej dobrze!

KLARA. Co ty mówisz, co ty mówisz, Zygmuncie!

ZYGMUNT. Ja nie potrzebuję już się zastanawiać, ja już wiem, oślepia mnie ta jasność, z jaką teraz patrzę . . .

KLARA. Posłuchaj mnie przecież . . .

ZYGMUNT. Miłość twoja samolubna, w sobie tylko zagłębiona. Kochałaś i wiedziałaś, że jesteś kochaną, ale czyś ty pomyślała, że i w mojej duszy pali się słońce miłości, i wre i kipi, grzałaś się przy niem — ale czyś ty kiedy stanęła z niem oko w oko — spojrzała w tę bezdeń płonącego morza.

KLARA. Wczoraj — wczoraj — gdym ujrzała twą rozpacz — spojrzałam w te zawrotne głębie i cofnęłam się przerażona . . .

ZYGMUNT. Cofnęłaś się, cofnęłaś. Lękałaś się spojrzeć tam, kędy burze szaleją, inne, jak te cierpienia, któremi twa dusza spętana, kędy

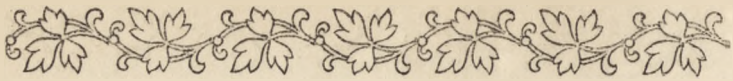

kłębią się wichry, co mój mózg skręciły jak mokrą chustę, że nic już przed sobą nie widzę, że mgłą mi oczy zachodzą, że wstręt mnie bierze na widok tego życia, które z kamienia krzeszę, kiedy go w twej duszy wskrzesić nie mogę — nie mogę — nie mogę!

KLARA. Nie mów tak, nie rań mnie tak strasznie!

ZYGMUNT. Nie chcę cię ranić, ja tylko obrachunek ze sobą robię. Nie mam twej duszy, bo za bardzo, za silnie z swą przeszłością spętana, więc pocóż wszystko? Pójdę w najgłębszą, najciemniejszą samotność, rozciągnę mą duszę do jej ogromu, do ogromu dzikiej, wiekuistej samotności tam na tej przełęczy . . .

KLARA *(z najwyższym bólem).* Ty byś poszedł na tę perć? Ty odemnie byś odszedł na tę perć?

ZYGMUNT. Już drogi do niej szukałem.

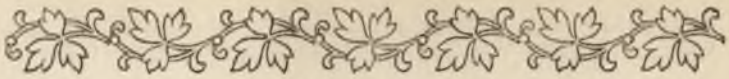

KLARA. Boże, Boże, serce mi zamiera — tam byś poszedł, dokąd Krzyckiemu drogę wskazałeś?

ZYGMUNT *(twardo i posępnie).* Tam! Jemu ją wskazałem, wskazać musiałem, bo nie wiedział, dokąd iść, bo to droga Niemocy dla tych co sił nie mają. Dla siebie ja sam ją wybrałem, bo dla mnie to droga zwycięstwa. — Rozumiesz?! *(z coraz większą gwałtownością)* Zwycięstwa! Mniejsza o to, czy je zdobędę, czy nie — ale nią pójdę... *(zrywa się i uderza w stół)* Pójdę! Sam pójdę! sam — *(opada — długie milczenie).*

KLARA *(po długiej wewnętrznej walce przypada nagle do niego, mówi szybko i bezładnie)* Teraz rozumiem, rozumiem twoją miłość, teraz ją obejmuję, patrzę w nią. — Moja dusza pręży się, wyciąga do jej bezmiaru — coś we mnie

topnieje — coś zlewa się w tem morzu, co się przed moimi oczyma rozściela; bezdenna, ognista topiel twej miłości, chłonie mą przeszłość . . .

ZYGMUNT *(patrzy na nią zdumiony).*

KLARA. Nie patrz na mnie takim zdumionym wzrokiem — ja cierpię, bo źrenice do ciemności nawykłe, krwią zachodzą, kłute boleśnie ognistemi szpilkami światła, którem nagle ujrzała. Czem są moje cierpienia, moje niepokoje, moje trwogi i rozpacze wobec ogromu twej miłości i bólu? Czem moja samolubna miłość, która po za własny ból wyjść nie mogła! Zygmuncie — jedyny mój — patrzę na ciebie, jak w chwili tego jasnowidzenia, gdym cię poraz pierwszy ujrzała w nadziemskich blaskach twórcy — w świętym ogniu innego bytu, któryś mi kazał przekroczyć, a jam na progu zo-

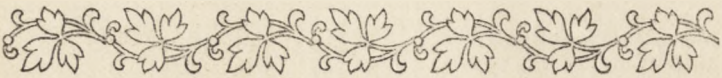

stała. — Patrz — jam teraz przybiła do brzegu twych świętych gajów, gdzie twoje ołtarze płoną . . .

ZYGMUNT *(chwyta ją w uniesieniu za ręce).* Klaro, moja Klaro!

KLARA. Przeszłam przez próg. — Och! co za rozkosz — raz jeszcze chciałabym przejść wszystkie męczarnie, znieść krwawsze cierpienia od dróg krzyżowych i całej Golgoty, byle raz jeszcze przeżyć to, co teraz przeżywam . . . *(patrzy na Zygmunta)* Ty wątpisz?

ZYGMUNT *(głęboko patrzy na nią).* A jutro — a jutro . . .

KLARA. Wątpisz jeszcze? *(chwilę patrzy przed siebie w dal, potem rzuca mu się na szyję)* Patrz, jam wolna! Weź, weź moją duszę, rozszarp na kawałki, podrzyj na drobne strzępy, wysnuj z niej nitkę po nitce — ja noszę w so-

bie świat cały i jego tajemnice, ja mam w niej wszystko to nieuchwytne między dniem a nocą, między dziś a jutrem. — W mojem łonie noszę rękojmię wiecznego bytu, wiecznego powrotu i nawrotu. Spojrzyj w nią jeszcze głębiej, tyś jeszcze za mało w nią patrzył. Może w niej odnajdziesz ten ukryty znak, tobie tylko dostrzegalny, który ci ścieżkę wskaże do tych ukrytych skarbów, do tych ołtarzy, przy których z wiecznością dusza twa śluby zawarła, kiedy jeszcze wolną była...

ZYGMUNT. I Bogiem.

KLARA. I Bogiem. Samoistną wolą ponad życiem i śmiercią.

ZYGMUNT. Wypełnieniem przepaści między Dziś a jutrem.

KLARA. Ogniwem a spójnią.

ZYGMUNT. Tak! *(tuli ją w zachwycie do siebie)*

Taka jasność bije od ciebie. To ty, ukochana, ty lałaś twe światło we mnie i ten żywy ogień, który we mnie płynie. Jam wziął twoją duszę i jam nią teraz bogaty i mocarz...

KLARA. Weź, weź moje serce w twe dłonie, ujmij je gorąco — wiem, jak mnie kochasz!

ZYGMUNT *(tuli ją coraz goręcej).*

KLARA. Weź moje serce — patrz, jak się ku tobie roztwiera, jak z jego głębi ogień bucha, rozlewa się w płomienie, w ogniste węże. Patrz, jak cię oplatają, jak wiją się w okół twej głowy, w okół twego ciała, jak spływają płomienną falą do twych stóp... Stwórz się w tym ogniu, w oplocie płomieni mego serca... Stań w tem morzu pożarnem oko w oko z twym Stwórcą... Powiedz straszne: Stań się! a stworzysz!

ZYGMUNT. Tak, stworzę, tam na tem miejscu,

gdzie miało stanąć mauzoleum dla Krzyckiego, tam postawię potężny ołtarz Miłości, która wyzwala i odradza — zwycięską świątynię Praognia, z którego wszystko powstało, olbrzymią Jednię wszechbytu, grzmiący hejnał wniebowzięcia nowego życia, wskrzeszonego z popiołów i rumowisk przeszłości . . .

KLARA *(coraz namiętniej).* Zbierz wszystkie niewidzialne błyski, wszystkie złote nici, które nas wiążą, wszystko co jest, co drga, co żyje między tobą a mną, uwij z tego słońce, które ci ciemnie na strzępy rozszarpie swem wiedzącem światłem, rozjaśni ci wszelkie tajnie tą wiedzą jedyną, tą żywą wiedzą między dotknięciem naszego ja i ty. Stwórz tę wielką Jednię, która jest wszystkiem, i tobą i mną, i tem, co jest przed życiem i po za niem.

ZYGMUNT. Twe słowa padły na mą duszę, jak

żagiew... Teraz mógłbym się rzucić na kolana, płakać w uniesieniu i krzyczeć dzikie Hosanna radości. Dzisiaj zielone, rozkwiecone gody, w których Duch święty w nas wstępuje...

KLARA. Rozkwiecone, umajone śluby naszych serc, naszych dusz...

(Patrzą długo na siebie).

ZYGMUNT. ... By wiecznie trwały, ach! zaklęć tę chwilę, by wiecznie trwała! By na wieczność całą rozciągnęło się to Dziś! *(w zamyśleniu, z cichym uśmiechem patrząc Klarze w oczy)* A jutro — a jutro? —

KLARA *(powtarza za nim).* Jutro... Jutro... *(z wzrastającym niepokojem)* Jutro... co to znaczy?

ZYGMUNT *(przysuwając się bliżej jeszcze).* Klaro! Klaro!

KLARA *(cofa się niespokojnie).* Co tak patrzysz na mnie — tak, tak . . . strasznie? . . .

ZYGMUNT. Gdyby Krzycki wrócił?

KLARA *(drgnęła przerażona, potem zdumiona przeciera czoło).* A! a — wybacz! wybacz Zygmuncie! *(mocno)* Nie! nie! *(chwyta go za ręce)* Patrz już jestem mocna! Nie! nie! *(z nagłem przerażeniem)* Gdyby? — gdyby? . . .

ZYGMUNT *(rozpacznie).* Klaro!

KLARA *(otrząsa się z mocą).* Nie! Patrz! Jam z tobą, jam twoja! *(rzuca mu ręce na szyję)*

ZYGMUNT *(wpatrzony w dal).* I ból Jutra niech będzie błogosławiony!

ZASŁONA SPADA.

3660

PRAWO WŁASNOŚCI I TŁÓMACZEŃ ZASTRZEŻONE.

B. Hozakowski Toruń, Nakładca.

3660.